



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

KSIĄDZ MURZYN.

Gdy Ameryka przepełnia się emigrantami europejskimi, którzy śpieszą tam po chleb i złoto, palone słońcem ziemie Afryki są teatrem najszlachetniejszych poświęceń, na jakie człowiek zdobyć się może. Misjonarz, śpieszący tam, aby nieść między barbarzyńskie i nieszczęśliwe plemiona ludzi chciwych światła religii chrześcijańskiej i cywilizacji europejskiej, która podnosi ich ponad nędzę wszelkiego rodzaju, w jakich jest pogrążony — to rycerz krzyżowych dni ostatnich, walczący w imię ludzkości na dzikim, posępnym polu pustyń. A ma on tam przeciwko sobie, gorzej niż lwy i hyeny, bo srogie, łakome bandy Arabów, kupczących człowiekiem jak zwierzęciem i uważających nieszczęśliwego Murzyna za towar. Misjonarz stawia wprost tym gwałtem okrutnym, oświecając Czarnych i razem niosąc im Wiarę Chrystusową, którą lud ten nieszczęśliwy przyjmuje chętniej i prawdziwiej niż spodziewać się było można — z gorącem, tkliwym uczuciem pierwszych Chrześcjan.

Przed paru miesiącami przybył do Poznania ksiądz czarny — ojciec Daniel Sorûr Pharêm Dên, wraz z misjonarzami, zbierającymi składki na misye niosące światło Wiary Chrystusowej między Murzynów. Jakkolwiek grunt nie jest tam odpowiedni potemu, bo grosz nie powinien być ztamtąd wyciągany dla żadnych — żadnych celów pobocznych, ponieważ żaden nie jest wyższym i świętszym nad utrzymanie się tutaj przy ziemi, — niemniej ojciec Daniel budził wielkie zajęcie między ludnością tamtejszą, zwłaszcza gdy

w archikatedrze, u Fary, w kościele Ś-go Marci na stanął u ołtarza i mszę odprawiał.

Dzieje życia tego księdza-murzyna ciekawe są i dramatyczne. Urodził się on w dolinie Białego Nilu, ze szczepu murzynów Dinga, o tyle już ucywilizowanego, że zna sposób przerabiania żelaza, z którego wyrobionem narzędziem, podobnem do motyki, i kłem słoniowym uprawia czarny krajowiec ziemię tak żyzną, że dwa razy do roku wydaje ona obfity plon kukurydzy, rodzi trzcinę cukrową, latorośl winną, drzewo kokosowe i chlebowe, krzew bawełniany i drzewo tamaryndowe. Rząd patryarchalny daje ojcu rodziny władzę nieograniczoną i tylko w czasie wojny pokolenie całe słucha rozkazów królika, który zostaje wtedy wodzem. Pieniądzy nie znają; handel zamienny produktów zastępuje je; mieszkaniami ich są okrągłe, niskie lepianki z gliny, budują również podobne obory dla bydła, którego posiadają stada znaczne stanowiące u nich majątek. Narzeczony daje w dzień ślubu rodzicom oblubienicy krów dziesięć, oprócz tego matce jej pięć — po pięć każdemu z braci. Narzeczona jest jakby za cenę tych datków kupioną i sama nie otrzymuje nic; przecież po śmierci rodziców córka dostaje część pewną ich dobytku.

Wieloność jest tu przyjęte, ale pierwsza żona ma przywileje wyższe, podobnie jak i jej dzieci, nad resztę rodzeństwa. Po śmierci męża brat jego zaślubia pierwszą żonę i obowiązany jest do opieki nad wszystkimi dziećmi. Syn najstarszy obiera miejsce ostatniego spoczynku ojca i matki, a jest w tem pewna wzruszająca tkliwość — wyseko rozwinięte uczucie miłości i czci synowskiej dla rodziców, skoro do przywilejów pierwotnego należy opieka nad ich szczątkami. I czystość obyczajów jest tu przestrzegana. Dziewczyna ostatecznie płocha bywa u niektórych pokoleń Dingów za zgodą rodziców przez starszego brata topioną.

Pierwocin owoców nie wolno pokosztować nikomu, dopóki ojciec, lub w jego zastępstwie matka, nie rozsypie ich po dziedzińcu, wzywając opieki Dendida, to jest Boga, który wszystko wie, który jest wielki, gdyż „Den“ znaczy wiedzący, świadomy, „Did“ wielki — całość wszystko ogarniająca. Kobieta ma tu godność niemal kapłanki i sprawuje pewne obrządku religijne. W czasie wojny, moru lub głodu kobiety, śpiewając uroczysty hymn, wypędzają w dalekie stopy krowę poświęconą, której mleka nie wolno jest tknąć ustom kobiety i które piją tylko mężczyźni. Lud ten jest wysoki, kształtny, miłych rysów twarzy; ojciec Daniel jest też dorodnym mężczyzną, pogodnego, przyjemnego oblicza.

Matka jego miała słynąć z piękności niepospolitej. Imię jej było Aquid-De Gele, a mąż jej pierwszy, Akhol, zginął śmiercią bohaterską poświęcenia się za innych. Gdy raz wespół z pasterzami swego pokolenia pędził do wody bydło, spostrzegł ślady olbrzymiego słonia, i ruszywszy przodem, ujrzał wspaniałe to zwierzę pod drzewem tamaryndy. Pasterze poczęli go atakować, ciskając weń dzidami, które przecież nie mogły przebić grubej jego skóry, a które on chwycił trąbą i druzgotał łapami, aż nakoniec raniony, rozjuszył się i wydał ryk, na który wszyscy pobledli, bo już nie miano dzid do obrony i wtedy to bohater wystąpił sam jeden do walki. Obszedłszy wkoło zwierzę kręgiem szerokim, zaszedł mu tył i toporkiem, który był jego jedyną bronią, począł podcinać tamaryndę, aż słon, gdy w gniewem poruszeniu obrócił się poza siebie, pochwycił zuchwałego wroga trąbą i cisnął go daleko od siebie, ale w tej chwili runęło i drzewo podcięte, przysgniatając swoim ciężarem zwierzę. Wtedy przybiegli pasterze; przez gałęzie zwalonej tamaryndy zasiekli toporkami powalonego, raniego już w krzyż króla nadnilowych wybrzeży, ale Akhol, przyniesiony na rękach ich do chaty, umarł wkrótce.

Wdowa według nakazu obyczaju zaślubiła wkrótce jego brata Den de Piok'a, i z tego to małżeństwa urodził się Pharim, czyli *ocutony*, gdyż przyszedł na świat w chwili, gdy sąsiednie, wrogie Dingom pokolenie Baggarami, napadło wieś jego rodzinna i chwila jego urodzin była pełna trwogi i zamieszania takiego, że mogło ono zabić matkę wraz z dzieckiem.

Historia młodości i pierwszych lat czarnego chłopięcia przedstawia przez różne rysy swoje Murzynów jego rodzinnego pokolenia jako lud łagodny, dobrego serca. Gdy raz przybyła do osady biedna wdowa z dwojgiem dzieci, rodzice Ojca Daniela przyjęli ją dobroczynnie i, nie czyniąc z przybylszy niewolników, wcielili ich niejako do rodziny, zrobili domownikami swymi. Wdowa i jej synek mały wkrótce zmarli; została tylko córka, i z tą obchodzono się, jakgdyby łączyły ją z chlebobdawcami jej węzły krwi. Gdy licząc lat 15, zachorowała, starszy syn Kog, młodzian dwudziestoletni, chodził codziennie bardzo daleko po mleko dla chorej. Uczucie odpowiedzialności moralnej, idea obowiązków człowieka względem Boga tkwiła w duszach tych ludzi Czarnych, już od dzieciństwa. Ojciec Daniel przypomina sobie, że gdy pewnego dnia zjadł jakiś owoc bez zwykłej modlitwy, proszącej Boga o błogosławieństwo dla tych płodów natury, miał wkrótce wyrzuty sumienia i lekko nie śmiał przystąpić do ojca, jako ten, który popełnił coś złego; aż przyzwany przezeń, pokornie wyjawiał winę swoją i został osmagany różgą za karę i dla pamięci, aby nie omijał nigdy tego, co jest obowiązkiem.

Miał lat ośm, gdy stracił ojca, i odtąd matka sama stała na czele domu i rodziny. Zamieszkało okolice bliższe Nilu i raz spotkała rodzinę groźna katastrofa zalewu. Stało się to w nocy. Matki nie było w domu i dzieci uciekały same. Starsza siostra unosiła kosztowności posiadane, Pharim niósł na rękę najmłodszą siostrzyczkę, druga trzymała go się, jako opiekuna, gdy w tem uciekający usłyszeli w ciemnościach wycie hyeny i zaczęli biec w stronę sąsiedniej chaty, gdzie ich przyjęto miłosiernie.

Dalej przypomina sobie ojciec Daniel, jak matka oddała go do owdowiałej ciotki na pastuszkę bydła. Tęsknił bardzo, lecz po niespełna roku powrócił radośnie do domu z pomocą brata Koga, i widzimy tu w tem murzyńskim dziecku taką samą tkliwość uczuć, taką tęsknotę za domem i rodziną, jakgdyby się rodziło z ludzi białych. Tylko wyraz uczuć tej rasy czarnej nie umiał się dotąd tak wydobyć im z piersi, abyśmy go usłyszeli. Ojciec Daniel nie w jednym opisie życia swego odsłania nam te tajemnice serca i myśli murzyńskiej, których człowiek biały w dumie swojej uznać nie chciał — nie rczumiął.

Pokolenia murzyńskie przenoszą się dla względów paszy z miejsca na miejsce, podobnie czynią też Dingowie i Pharim znalazł się wyrostkiem na wybrzeżu jeziora No, gdzie nastąpiło pierwsze dla niego spotkanie z dwunożnymi szakalami tych okolic — z Arabami Baggarami, i teraz na scenę tego życia pierwotnej sielanki, dramatyzującej się tylko przez wywarcie sił natury, występuje wróg inaczej okrutny i chytry: człowiek podstępny, człowiek tej pół cywilizacji, która daje mu jedynie taką broń do ręki, aby mógł stać się sroższym i gorszym od dzikiego zwierza, co wtedy tylko łupu łaknie, gdy jest głodnym. Śmierć brata a następnie napady Arabów, to czarne cienie tego młodego życia, mieszczącego w historii swojej takie wzruszające epizody, jakim podobnych niezawsze doszukać się można w życiu ludzi cywilizowanych. Gdy Kog umarł i biedna matka chciała go pochować, a ziemia, spiekła od upału, była zbyt twardą, aby grób można było w niej wykopać, matka musiała szukać wody, aby ją rozmiękczyć, i kilkakrotnie chodziła po nią, nosząc ją na głowie w naczyniu mogącym zawrzeć zaledwie parę litrów.

Gdy trud ten bolesny podkopał jej zdrowie, gdy, dostawszy zjadliwej gorączki, legła sama, powalona niemocą, Pharim, który z siostrą Acciolą pilnował stad bydła wygnanego na pastwisko odległe o dzień drogi, pośpieszył, aby jej przynieść mleka, które uważane jest przez te biedne ludy za najwyższy przysmak i lekarstwo na

wszelkie choroby. Ale nie znalazł jej w chacie. Przeniosła się do innej, stojącej pustką, aby paląca ją gorączka nie udzieliła się córkom. Syna z tej też obawy nie chciała wpuścić do siebie, i czy ta Murzynka, skazująca się na samotne cierpienie bez posługi i pociech dzieci, by ich nie narazić na niebezpieczeństwo zarazy, nie przedstawia wysoko uczuciowej i szlachetnej, podniosłej myślącej istoty ludzkiej, podniesionej nad egoizm, więc żyjącej już na tych prawach wyższych, niż prosty instynkt zachowawczy, który dotąd uważany jest przez większość podróżników za jedyną sprężynę życia tej rasy czarnej, niezdolnej do cywilizacji?

Horda dzikich Arabów z Kordofanu, Dzallabów, ukazała się w okolicy, urządzając okrutną obławę na Murzynów: rzucano więc wszystko uciekając w głąb pustyń; ale wróg miał w ręku broń palną i gonił ich konno, — dogonił też i po daremnym oporze, który matka zwłaszcza stawiała w obronie córek, wzięto ich wszystkich w jassyr i pędzono jak stado bydła. Pharim stał się niewolnikiem innego pana i nie wiadomo nic o sobie; okrutne też były chwile, gdy rodzina spotykała się na noclegach. Przy podziale łupów rozdzielono i matkę z córkami. Na szczęście właściciel Pharima był przyjacielem tego, który zdobył sobie jego matkę, i syn mógł się do niej zbliżyć na chwilę.

Nie dano im nic jeść przez cały dzień pochodu; wieczorem dostali po garści zboża, które nieszczęśliwi połykali chciwie. Dla siebie przecież Arabowie zabili wołu, i Pharim, któremu zdjęto więzy, aby nosił im wodę, ukradł watrobę, włożył w nocy pod popiół gorący i spożył chciwie. Niewolnica Araba, który był jego panem, miała ze sobą synka; dziecko kaszlało i budziło oprawców swoich: więc kazano matce, aby je zabiła, udusiła, — ale ona nie chciała tego uczynić, nawet pod trwogą razów bicia ze skóry hippopotama. Wtedy okrutny Dzallab rozkazał Pharimowi, aby był wykonawcą mordu. Nieszczęsny chłopiec uległ trwodze i stał się katem dziecka. Pod srogą komendą swego pana wyniósł je za namiot, położył na ziemi i siadł na niem. Za chwilę wrócił do namiotu trzęsąc się cały — dziecko, jak sądził, nie żyło.

Ale dziecko omdlało tylko i na szczęście, może najwęższe dla Pharima, po pewnym czasie otrzeźwione chłodem nocy, wsunęło się do matki do namiotu i cudownie wyleczone, już nie kaszlało, przecież srogi pan jego rozłączył je potem z matką — sprzedał komuś.

Świtaniem wyruszono w dalszą drogę. Arabowie, siedząc na wołach, osłach i wielbłądach, pędzili to stado nieszczęsne. Na przystankach Pharim usiłował się zbliżyć do matki i chłopiec podobał się jej panu, który pomieniał się z właścicielem Pharima i za innego chłopca wziął go sobie. Szczęście jego było niewypowiedziane; rozradowana jego twarz kazała właścicielowi przewzwać go Sorur, co poarabsku znaczy radość.

Dzieje pochodu niewolników są pełne strasznych historii; zabijano krzyżące dzieci, rozstrzeliwano słabych, niemogących podążać za karawaną, lecz najokrutniej mordowano zbiegów, pastwiono się nad nimi w sposób przerażający, aby odstraszyć innych od chęci ucieczki. Nakoniec przybyto na miejsce targowiska — do arabskiego miasta El-Obeid. Tu zapędzono wszystkich do ziemnych niby stodół, gdzie smarowano ich codzień tłuszczem, aby rany od biczów zagoiły się, a skóra nabrała połysku, po dwóch tygodniach wyprowadzono nieszczęsnych na rynek. Za chłopca takiego, jak Pharim Sorur, płacono po 80 talarów srebrnych, stempla Maryi Teresy, za dziewczyny dwa, trzy razy tyle. Jakie były przytem próby, jakie przejścia okrutne — pióro wzdryga się powtórzyć.

Pharim z matką i jednym jeszcze chłopcem rodakiem pozostał u dawnego pana, jako jego sługa. Matka pracowała w polu — pracowała ciężko, do gorącego potu; Pharim pasł owce, ale nie dawano mu nic jeść i musiał się żywić na odległych pastwiskach własnym przemyślem, a dozorca niewolników srogo się z nim obchodził. Raz za stłuczenie naczynia osmagał go tak okrutnie, że całe ciało było jedną raną i pozostał sa-

motnie pod drzewem, gdzie miała miejsce ekucya. Inni niewolnicy zlitowali się nad nim i dali mu ratunek.

Lepsze czasy nastały dla niego, gdy dostał się na oddzielnego do miejskiego domu swego pana — do El Obeid. Tu nikt już tak nie katował, nie dręczył, ale raz klucz od bramy domu zginał; zgubiła go niewolnica, której za rozkazem pani go powierzył, i Pharim ze strachu przed karą zbiegł. W pobliżu były stacye chrześcijańskie, ale Arabowie straszili biednych Murzynów fałszywymi pogłoskami, że misjonarze zabijają Czarnych na ofiarę swemu Bogu; obawa jednak bliższej kary popchnęła Pharima, aby się tam zwrócił. Zapukał więc do furty, która otwiera się natychmiast dla każdego, i przyjęty przez prowikaryusza apostolskiego Comboni, już tu pozostał nazawsze, pomieszczony w szkole takich, jak on, chłopców czarnych, gdzie zaraz opowiedziano mu o Bogu dobrym i miłosiernym, o aniele stróżu, który pilnuje każdej istoty ludzkiej — o prawie miłości bliźniego, które powinno rządzić światem.

Pan jego daremnie chciał go odkupić za cenę dwóch krów z cielętami — ojciec Comboni nie przystał na targ; ale z kolei przyszły próby cięższe. Dawny pan Pharima przysłał do niego matkę, której syn padł do nóg wzruszony, ale już nie poszedł za nią. Serce jego oddało się w całości Bogu chrześcijan — Bogu łaski i miłosierdzia; daremnie też biedna kobieta wyciągała do niego ręce, daremnie budziła mu w sercu wspomnienia przeszłości, — siostr, których, niestety! nie było przy niej.

Niewolnica samotna traciła teraz i syna, więc ogarnęła ją rozpacz — i przeklęła go! Naśliniła wskazujący palec prawej ręki i, dotknawszy nim ziemi, uczyniła następnie nim znak na czole syna, co było formą okrutną przeklęcia przez ziemię ojczystą, której proch znalazł się na czole przekłętą, zmieszany ze śliną matki.

Już odtąd nie widział jej. Nieszczęśliwa po rozstaniu się z synem zbiegła od swego pana, który był względnie łaskawym, ale, pochwyciona wkrótce, została wyprowadzona na rynek niewolnic i sprzedana. Odtąd syn stracił wszelki jej ślad, wszelką wiedzę o niej.

Przyszła na niego próba nowa. Pokochał jakąś dziewczynę czarną i chciał się z nią żenić. Miał wtedy lat piętnaście; ale nie było to odstępstwem, bo i dziewczyna byłaby przyjęła jego wiarę; przecież O. Comboni widział w nim najdoskonalszego misjonarza krzewienia Wiary Chrystusowej i cywilizacji między Murzynami, sięgnął w głąb jego serca i zatargał niem, żądając ofiary. Przystał na to — jak odrzucił sobie od serca matkę, tak następnie kochankę. Zawieziony następnie do Werony, wszedł w 1877 roku do *Congregatio de Propaganda fide* w Rzymie, gdzie Pius IX zapragnął go widzieć i dodał mu ducha; nauczał, że powinien wyrzec się wszystkiego, co stanowi szczęście osobiste, ponieważ jest powołany do wielkiej misji podniesienia z nędzy i ciemnoty współbraci swoich.

Tak się też stało. Po siedmiu latach studyów w Rzymie udał się Pharim do Syrii, do Beyrutu, gdzie przebył studia potrzebne dla prac misyjnych; dalej kształcił się jeszcze w tym samym kierunku w Ghazir na Libanie, aż w 1887 roku udał się do Kairu, gdzie biskup tamtejszy, O. Franciszek Sagaro, wikaryusz apostolski, dał mu święcenie kapłańskie, i odtąd Ojciec Daniel pełnił z największym poświęceniem obowiązki swego wzniesłego powołania w Suakimie, patrząc przecież z boleścią, że mimo zakazów wydawanych przez rządy europejskie, handel niewolnikami prowadzi się dotąd przez Arabów zfanatyzowanych przez Mahdi'ego, który się ogłaszał jako nowy prorok, następca Mahometa, a który znalazł obecnie naśladowcę w podobnym doń fanatyku, El-Halifie. Missye chrześcijańskie są też zawsze jednakowo potrzebne w Afryce, jako obrona biednych Murzynów i niesione im światło chrześcijaństwa. W tym też celu misjonarze tamtejsi przybywają od czasu do czasu do Europy, aby rozbudzać współczucie dla nieszczęśliwych współbraci Ojca Daniela, który stanął im do pomocy w tem dziele. Godzi się też Europie

popierać to przedsięwzięcie; mylnie przecież zwrócono się tu o pomoc w okolice poznańskie, bo tu kraj jest niebogaty i mający tyle nędz do wsparcia i wielkie — ogromne zadanie utrzymania się właścicieli obecnych przy ziemi, że nic już po za to zadanie święte iść na bok nie może — nie powinno. Jest stopniowanie w dziełach obowiązku: to, co najbliższe nas leży, ma pierwsze prawo do pomocy naszej. Trzeba najpierw swoich głodnych nakarmić, swoich spragnionych napoić — swoje obowiązki przez Boga i ludzkość nakazane nam spełnić, a dopiero działalności naszej dać krąg szerszy, i w tem-to znaczeniu powiedział ten tkliwy, ten serdeczny nasz poeta Brodziński: — Czyni każdy w swoim kółku, co każe duch Boży, a całość sama się złoży.

M. Ilnicka.

WALKA TYTANÓW

przez

J. Nitowskiego.

(Dokończenie).

Sturęcy.

Już wygrywamy; jeszcze, jedno jeszcze
Silne natarcie, a walka skończona,
Jedno natarcie, a tytanów siła
W proch się rozpadnie.

(*W górze ukazuje się widmo Ananke.*)

Kronos.

Ha! Stajesz przedemną,

Aby się cieszyć upadkiem tytana,
Siło! Do ciebie wyciągam ramiona,
Błagam, ja, tytan, twej litości błagam
Poraz ostatni!

(*Ananke w milczeniu znika.*)

Zniknęła! Jak ciemno!

W uszach mi ciągle brzmi słowo „przegrana“,
Że nawet ryku gromów nie dosłyszę.
Zniknęła, mara senna! Jaka cisza!
Gdzie Zeus, gdzie Olimp, gdzie współbracia
[moi?]

Hej, bracia, do mnie, przerwijmy tę ciszę!
Naprzód, na Olimp, do niebios podwoi!
Kto pierwszy wydrze piorun z ręki Zeusa,
Temu swe całe daję panowanie.

Chór Tytanów.

Sturęcy straszne się spustoszenie,
Żadna potęga im się nie ostanie.
Z Olimpu grom po gromie pada;
Żadnej zwycięstwa nadziei.

Kronos.

Checiałbym być teraz śmiertelnym!

Chór Dzieci Nocy (*w górze*).

A co, wygrywasz, tytanie?

Chór Tytanów.

Biada nam, biada!
Wszyscy padamy, wszyscy po kolei!

Kronos.

Ananke! Przeklinam ciebie,
Że obdarzyłaś mię nieśmiertelnością!

Chór Tytanów (*do Kronosa*).

A my nawzajem ciebie przeklinamy,
Ześ, chęcią władzy wiedziony,
Popchnął w Tartaru głębiny
Siebie i swoich współbraci!

Ziemia.

Dzieci, nie klnijcie tytana,
Bowiem z wyższego rozkazu
On i wy, wszyscy tytani,
Do tej walki powołani.
Inaczej myśleć, czuć, działać,
I on, i wyście nie mogli.

Kronos.

Wiecznie Ananke! Więc ja, sił wcielenie,
Ja, co sił zbytek czuję w swoim łonie,
Co mógłbym gromy dławić jedną dłonią
Ja, olbrzym, jestem niczem innym, tylko
Prostą igraszką nieubłaganego
Prawa wszechświata? O, gorzka ironio!

Sturęcy.

Jeszcze pozostał straszny wódz tytanów;
Naprzód, bez trwogi, Sturęcy!

Kronos.

Jednem wejrzeniem pogardy
Mógłbym was zabić, obrzydliwe płazy.

Sturęcy (*Cofając się*).

Straszny, jak samo Zeusa oblicze!

Kronos.

W czym zawiniłem przed wami, potwory?
Jaką mi winę zarzucić możecie?

Sturęcy.

Byłeś potęgą: myśmy jej nie mieli.

Zeus (*Schodząc z Olimpu do Kronosa*).

Tosamo ty mi masz do zarzucenia.

Kronos.

Jestem potęgą, być nią nie przestanę.

Sturęcy.

Upadła Jesteś dziś tylko ruina.

Kronos.

A jeśli ramię ulecę strzaskane
I pod mym ciosem tłumy wrogów zginą?

Sturęcy.

Wówczas my będziemy przyjaciółmi twymi.

Kronos.

Przeklętwo wam!

Chór Dzieci Nocy.

Cha, cha, cha, cha!

(*Grom bije. — Kronos pada.*)

Sturęcy.

Panie, u nóg twych leży na ziemi
Tytan ostatni, wielki i dumny.
Dokąd go zawlec?

Zeus.

Wszystkich do Tartaru!
Tam żyjąc, w koło cierpień wpleceni,

Gdzie głucha wieczna panuje noc,
Gdzie niema ciepłych słońca promieni —
Tam niechaj bogów poznają moc!

Kronos.

Lepsze Tartaru męczarnie, niżeli
Wasz wieczny spokój na Olimpu szczycie.
Gdy tu wam nektar lica rozweseli,
Wspomnij, że Tytan rozpoczyna życie
Nowe i z mąk swych nowe siły stworzy,
Które w przyszłości rozsądzą tron boży
I kres położą twemu panowaniu
Właśnie, gdy wszyscy ucztować będziecie.

Ziemia.

A na Olimpie, dzisiaj krwią zbryzganym,
Zakwitnie wiecznej wiosny cudne kwiecie,
Kąpane w blaskach promiennego słońca.

Zeus.

Jakto? Więc wróżysz jeszcze walkę nową?
Kiedyż jej koniec będzie?

Ananke (*ukazując się w górze*).

Bój taki nigdy nie będzie miał końca.
Kiedy ty padniesz, wówczas będzie drugi,
Na jego miejsce znów trzeci nastanie;
I tak się wiecznie łąć będą krwi strugi
I wiecznem będzie wasze panowanie,
Choć różne kształtem i treścią odmienne:
Coraz mniej straszne, coraz mniej szkodliwe.

Hyperyon.

A więc rozkoszny kraj Oceanidy,
Co go zrodziły marzenia wpółsenne,
Jest złudą tylko?

Ananke.

Jak gwiazda przewodnia

Kraj ten przed wami wiecznie świeci zdala;
I wiecznie w piersiach wam ogień zapala.
A choć do niego zbliżacie się codnia,
Jednakże nigdy go nie posiadziecie,
Bo wieczna walka jest prawem na świecie:
A w raju niema ni cierpień ni walki,
Więc niema życia, a wam żyć przystoi.
Kraj ten, o którym nieskończenie śnicie,
Wiecznie was siłą żywotną zapładnia
I ducha budzi, ale wszelkie życie
U jego złotych kończy się podwoi.

(*Do Kronosa*).

W tobie idea zwycięstwa spoczywa:
Zwycięzsz wszystko i Olimpijczyka
Zwycięzsz kiedyś w przyszłości.
Ale wpięć musisz odrodzić się w sobie,
Skonać w męczarniach i zmartwychwstać potem
Bez zmaży, w jasnej koronie miłości.
Co jest warunkiem życia we wszechświecie.

Zeus (*do Sturękich*).

W otchłań tytanów na wieczyste męki!
Wy ich stróżami będziecie.

Ananke (*do Sturękich*).

Długie w pogardzie przespalicie chwile,
I długo jeszcze żyć we wnętrzu ziemi
W ciągłej ciemności musicie i czekać,
Aż Kronos, moim posłuszny rozkazom,
Da wam zobaczyć Heliosa promienie.

(*Znika*).

Kronos (*do Tytanów*).

Jako na Olimp przed chwilą was wiodłem,
Tak teraz w otchłań Tartaru powiodę.
Za mną!

Ocean.

O Zeusie, nie myśl, że my podłem
Bezmyślnem życiem nadal żyć będziemy.
Patrz, oto w górze Alastor już lata!

Alastor.

Na waszem miejscu ja przy Zeusie stoję
Nieubłagany, ponury i niemy.
Zemsta, jak miłość, także prawem świata.

K O N I E C.

LETNIA WYCIECZKA.

Przekład

M. I.

(Dokończenie).

— Czy tylko nie znudzę pani moją osobą, czy nie narzucam jej się zanaadto, korzystając z praw ziomka? — pyta.

— Oh! bynajmniej, bynajmniej — odpowiada Laura, ale nagle czuje, że jest może zbyt otwartą i płoni się, jak róża, na którą pada płomień słońca. W siedemnastym roku ma się ten nieszczęśliwy przywilej zdradzieckiego rumieńca, który nie pozwala się ukryć nawet pod tak wielkim kapeluszem, jaki Laura ma na głowie.

— Ach! jak też gorąco dzisiaj! — mówi zawstydzona.

— Tak — bardzo gorąco — przyświadcza Craven. Bawi go zmieszanie dziewczęcia i rozwija nad nią swój ogromny parasol od deszczu.

— Zasłoń panią, choć trochę — mówi nieco złośliwie, bo widzi, że parasol zdaje się sprowadzać Laurze podniesienie temperatury. — Nie mogę pozwolić, abyś się pani opaliła i dostała piegów.

Z przyjemnością patrzy na białą i rumianą, gładką jak porcelana, twarzyczkę, a Laura zaczyna się teraz śmiać wesołym, prawdziwie dziewczęcym śmiechem.

— Jesteś pan w tej chwili podobnym do cici — mówi wesoło — ciocia też troszczy się podobnie o płeć moją.

W tej chwili dochodzi ich uszu dźwięk trąbki konduktora omnibusu i Tom woła, aby się spieszyć. Więc też wszyscy troje puszczają się niemal cwałem, przyczem Craven ujmując rękę Laury i biegną tak razem, jak brat z siostrą.

— To mi podróż co się nazywa, pełna przygód — mówi jej potem, gdy siedzą już wygodnie w omnibusie, ona zmęczona, ale wesoła, jak dziecko, bo też i w samej rzeczy dzieckiem jest jeszcze.

Rozmowa idzie tak żywo, że gdy omnibus staje, Laura woła:

— Czy to już?

Kapitan Craven spogląda na zegarek.

— Tak... to już.

Wysiadają i żegnają się. Laurze robi się jakoś smutno, gdy kapitan, ujmując jej małą rączkę, dziękuje za dzień przyjemnie przeżyty.

— Bardzo miły człowiek — odzywa się Tom do siostry — czy też spotkamy się z nim jeszcze kiedy?

Laurze robi się jakoś smutno i nieco przyciszonym głosem odpowiada, że rzecz jest wątpliwa. — Chybaby odwiedził ciocię — dodaje przecież po chwili.

Kiedy wieczorem po herbacie znalazła się sama w swoim pokoiku i, siadłszy przy otwartym oknie, patrzyła ku gwiązdom, mrugającym w górze na zamglonem niebie Paryża, przyszła jej naraz myśl, że gdy ona i Tom opowiedzieli o sobie wszystko kapitanowi Craven, on przecież nie był tak otwartym. Powiedział tylko, że bawi w Pa-

ryżu, czekając na kogoś, przebywającego u wód w Aix-les Bains. Lada dzień może odebrać telegram, dający mu znać, że ten ktoś przyjeżdża i wtedy powrócą zaraz razem do Anglii.

Gdzie? w które strony? nie dodał tego. Do Francji przybył ze Szkocji, gdzie bawił, polując na sarny i dzikie gęsi.

Laura staje się nieco markotną, nieco smutną. Poznać tak kogoś, polubić i nie zobaczyć więcej... Przecież w podróży tak być musi: ludzie spotykają się tak ze sobą jak te pociągi kolei żelaznej, mijające się wśród drogi. Ludzie wyjrzą na siebie z okien wagonu i pomkną każdy w swoją stronę.

Ale miała wśród dnia wiele ruchu, i natura dopomniła się o swoje prawa. Usnęła Lorcja, ledwo przyłożywszy głowę do poduszki, i zasnęła tak długo, że aż Tom zapukał do jej pokoju. — Wstaw! zawołał — czeka cię niespodzianka!...

W kwadrans potem znalazła się w stołowym pokoju, gdzie Tom kazał jej się stawić. — Zgadnij, co tu jest! — woła na nią podnosząc do góry list w rozpieczętowanej kopercie.

Czego się zmieszała?... nie wie sama. Tom, śmiejąc się, nazywa ją gąską i kładzie przed nią list — podpisany: Gerald Craven.

List był do Toma. — Mój drogi White — pisała czytelnym śmiałym charakterem mężka ręką. — Dostałem na dziś wieczór łóżę do teatru *Variétés* od znajomego, który musi przed wieczorem wyjechać.

Sztuka jest wyborna, bo niezmiernie zabawna: *Le Voyage en Suisse*. Wiem, że tak ty, jak miss Laura, zabawilibyście się na niej bardzo przyjemnie i proszę spraw, aby się to stać mogło. Czyż nie jesteśmy kolledzy: Etonczyki? Liczę na to, że namówisz siostrę, aby mi zrobiła tę wielką przyjemność. Ja się stawię na kurtytarzu, oczekując.

— Ach Tomie! cóżby to była za wielka, ogromna przyjemność — woła Laura — nie wiem tylko, czy to wypada i czy ciocia pozwoli?

— Lecz cóż odpisałeś? — dodaje lekliwie, niespokojnie, nie czekając odpowiedzi na pierwsze z pytań swoich.

— Nie odpisałem nic wcale, chcąc się pierwej dowiedzieć: czy masz chęć pójść?

— Więc to można?

— Dlaczego nie można? Czyż nie będę z tobą? Spodziewam się, że opieka mężka jest lepszą od wszelkiej babskiej... przepraszam: kobiecej.

Laura patrzy na niego trochę niepewnym wzrokiem, ale on, jak łaskawy monarcha, lekko ją głaszcze po głowie. — Przepędzimy wybornie wieczór... powiada jej i wychodzi.

Ona jeszcze się waha. Chce zawołać za nim, ale jakoś nie woła i wyrok przeznaczenia zapada... Będzie dziś w teatrze... będzie z kapitanem Craven...

Pół dnia myślała: jak się ubrać? Gdy rzecz została zadecydowana, że powinna to być toaleta elegancka, ale skromna bardzo — że weźmie suknię z niewarowego batystu i zawiąże tylko niebieską wstążeczkę na szyi, czas zaczyna jej się wydawać niezmiernie długim, przecież płynie mimo to i nadchodzi chwila, w której trzeba jechać. Laura prezentuje się ciotce. A cóż ciotka? Wie tylko, że Tom dostał od swego kolegi z Eton łóżę do teatru *Variétés*, sama ona dotychczas raz tylko jeden przejechała się po bulwarach, ale nie ma nic przeciwko temu, aby siostrzenica zabawiła się trochę. — Tom jest rozsądny i poważny chłopiec — mówi do swojej panny służącej i zarazem powiernicy, która jest u niej tak dawno, że znała Laurę dzieckiem i zawiązała jej loczki, sadzając ją sobie na kolanach do tej operacji. Obie, to jest ciotka i ona, oglądają teraz toaletę Laury i uznają, że jest wcale ładna, że jej w niej do twarzy, zwłaszcza, że ona sama bardzo dobrze wygląda, a to znowu jest dowodem, że powietrze paryzkie jej służy. Tom wyszedł też dziś na eleganta: kazał się ufryzować; podaje teraz siostrze rękę z wielką powagą, i prowadzi ją do najętego powozu, który czekał przed domem i wsadza, naśladując w ruchach stryja Jerzego, który uchodzi w całej okolicy za doskonałego gentlemiana, a był nawet prezentowanym królowej za czasów, gdy służył w gwardyi.

Jadą tedy, mijają El Dorado, Hippodrom, przebywają Plac Zgody, którego oświetlenie ich zachwyca, i na kilkadziesiąt kroków przed zajazdem spotykają kapitana Craven, który czeka na nich i siada do powozu. Tom zajmuje teraz siedzenie na przodzie, on zaś mieści się obok Laury, której dziękuje bardzo układnie, jak człowiek znający się na formach grzeczności towarzyskiej, że raczyła przybyć.

— Ależ ona klaskała w ręce... woła Tom, śmiejąc się. Laura rumieni się, kapitan Craven patrzy na nią z widoczną przyjemnością i dodaje, że należała mu się dziś jakaś przyjemność, ponieważ samym porankiem doznał nieprzyjemności — zawodu. Dostał telegram, że osoba, na którą oczekuje w Paryżu, przybędzie dopiero za dni parę. Laurze nie przychodzi to do głowy, że łoża, którą Tom został obdarowany, może miała przeznaczenie inne, i dostała im się jedynie wskutek niesłowności owego kogoś, który się opóźnił z przyjazdem.

— Pewno się pan nie gniewasz, że kilka dni dłużej zostaniesz w Paryżu — mówi Laura naiwnie, czemu on nie przeczy. — Tak — odpowiada dwornie — ponieważ to dało mi sposobność przepędzenia jeszcze wieczoru z panią.

Wszyscy są w tak dobrym humorze, że Tom nie gniewa się na woźnicę, który mu kazał dopłacić sobie trzy franki z powodu, że wioził trzy, nie dwie, osoby. — Bestya zdziera... mruknął w duszy, ale jest wesoły i zadowolony, bo łoża jest w najlepszej pozycyi, można z niej widzieć i być widzianym; skoro też Laura zajęła miejsce, niejedna lornetka skierowała się na ładne dziewczę, które, widząc to, rumieni się i staje jeszcze ładniejszem. Kapitanowi Craven sprawia to przyjemność. — Patrz pani, jak Francuzi patrzą na ciebie — mówi jej trochę tak, jakgdyby była jeszcze niedoszłym podlotkiem, i ona uśmiecha się do niego. — Poznają widać, że jestem obca i parafianka — odpowiada naiwnie, a on ma ochotę pogłaskać ją po ufryzowanej ładnie główce i powiedzieć po-bratersku: — Jesteś miłym, dobrem dziewczęciem...

I jest tak rzeczywiście. Laura nie ma w sobie nic próżności, nie kokieterii, używa też przyjemności widowiska z dziewczęcym prawdziwie zachwytem młodej, nieprzesyconej zabawami istoty, co pociąga do niej więcej jeszcze, niżeli jej uroda. — Jaka to dobra, wdzięczna kobiecinka będzie kiedyś z tej dziewczki! — zdaje się myśleć Gerald Craven, patrząc na nią, więcej, niż na scenę. Dla człowieka, który, żyjąc w świecie form i elegancji, nie często mógł się spotykać z taką naturalnością i prostotą, bardzo powabną, jest to w dodatku obrazek, do którego uśmiecha się, jak do kwiatka świeżo wychylającego się z pączka. W antrakcie prowadzi też rodzeństwo na Bulwary, gdzie jedzą lody, a że i to jest nowością tak dla brata, jak dla siostry, stanowi to dla obojga wielką przyjemność, czego Laura zwłaszcza nie ukrywa bynajmniej i odzywa się raz po raz: Ach! jak tu ładnie! ach! jak tu przyjemnie!

Raz miała przytem taką minę ptaszka, raz pierwszy wylatującego poza gniazdko, że Gerald nie mógł powstrzymać uśmiechu, który spostrzegła. — Pan się śmiejesz ze mnie... rzekła z pewnym dąsiem.

— Boże uchowaj, drogie dziecko... chciałem powiedzieć miss Lauro — odpowiada Craven i ściska zlekka jej rączkę — czyżbym się mógł dopuścić czegoś podobnego?... Tylko przypominasz mi pani trochę moją najmłodszą siostrę...

— Kiedy tak, to zgoda — odpowiada Laura wesoło. Wszakże siostra jest zawsze miłą bratu, więc nie gniewa się o to, że przypomina Cravenowi jego siostrę.

Miała chęć zapytać się go o nią: ile ma lat i gdzie przebywa? ale czuje, że byłoby to może zaspokojeniem ciekawości mało dyskretnej. Tymczasem też sztuka się kończy, kapitan Craven wsadza Laurę do dorożki, sam powiada woźnicy adres i, zdejmując kapelusz, kłania się jeszcze ukłonem pełnym uszanowania, a dziewczęciu się zdaje, że pozostał jeszcze chwilę na miejscu, patrząc za nimi.

Na zapytanie ciotki: czy się bawiła dobrze? — odpowiada, że przewybornie, opowiada nawet pewne ustępy sztuki; gdy przecież znalazła się w swoim pokoju, ogarnia ją coś, jak smętność tęskna. Miałaby chęć nie kłaść się do łóżka, ale gdzieś iść, spacerować po bulwarach, które za pewne zaczynają się już teraz opróżniać i wkrótce już będą samotne, ciche, oświecone białym światłem gazu.

Gdy obudziła się nazajutrz, później niż zwykle, zdaje jej się, że powróciła z jakiejś dalekiej podróży, i śmieje się sama ze siebie. Nie ma jednak czasu marzyć, bo jest to Niedziela i trzeba być w kościele. Ciotka jeszcze nie wychodzi, bo w czasie podróży obtarła sobie nogę nowym, niewygodnym bucikiem; ale Tom służy jej zawsze za przewodnika. Idą więc oboje do anglikańskiego kościoła, gdzie nie znajdują, jak się spodziewała Laura, kapitana Craven, ale za to Tom spotkał kilku kolegów uniwersyteckich, i Laura czuje, że teraz zapewne przeniewierzy jej się nieraz, aby przepędzić z nimi jaką wesołą godzinę. Sprawdziło się to nawet zaraz dnia tego. Zaproszono go gdzieś na obiad, lecz ciotka, miarkując z minki Laury, że jest czegoś trochę markotną — że się trochę nudzi, proponuje jej, aby poszła z Matson, to jest z jej zaufaną panną służącą, na Pola Elizejskie, gdzie, najawszysze sobie krzesła, mogłyby posiedzieć parę godzin na otwartym powietrzu, przyglądając się przejeżdżającym powozom. Matson popiera ten projekt. Jest to bardzo dobra kobieta, przytem lubi Laurę i domyśla się trochę, że istnieje pewna przyczyna, dla której może jej być smutno w domu: głosuje za tym spacerem, stroi bardzo starannie Laurę, którą w myśli nazywa zawsze Lorcją, i we dwie puszczają się na Paryż, zasiadają na bulwarze pod cieniem drzew i przyglądają się niedzielnemu ruchowi stolicy Francji. Matson bawi się przytem wybornie, ale Laura jest jakąś roztargnioną, jakgdyby czegoś czekała, i sama nie wie co jej jest, dlaczego jej nie bawi dziś to, co byłoby niewątpliwie bawiło jeszcze tydzień temu?

— Ach! gdyby tak kapitan Craven zjawił się nagle!.. Jest to jej myśl, do której przecież nie chce się przyznać sama i tęskne uczucie, które ją ogarnia, składa na brak obecności Toma. — Nie dobry chłopak! opuścił mnie samotnie i używa święta z obcymi — sowizdrzałami.

Westchnęła cichutko, ale Matson to słyszy i żałuje jej, aż naraz wyrwa jej się z ust okrzyk: — Ach co za piękny koń siwy koń, co za piękny powozik! — Woła, wskazując na wiktoryę, która przejeżdża mimo. Dżokej stoi w tyle, a sam pan powoź, wioząc starszego od siebie, siwiejącego już nieco gentlemana. Laura oblewa się najgorętszym rumieńcem, bo powożący to jej znajomy — kapitan Craven.

Ale widać nie spostrzegł jej; zdawało się przecież, że spojrzał w jej stronę, a jednak nie ukłonił się.. Czyżby nie poznał? — Czy może nie chciał poznać? — Nie zrobiła mu przecież wczoraj nic, coby obrazić go mogło.. Nie wie co myśleć, jest jednak blizką płaczu, który tylko powstrzymuje.

Przychodzi jej z kolei myśl inna jeszcze, czy nie należy on do tej sfery najwyższej arystokracji, która nie lubi się pospolitować? Ale przecież i jej rodzina... Ach! Tom bywa niekiedy takim prostakiem... W szkołach nabrał takich złych manier i wczoraj zaklął w jej obecności kilka razy... Gdy panowie są sami, to uchodzi, ale wobec kobiety...

W tej chwili jest przecież dzieckiem tylko — biednym, zmartwionem dzieckiem, które odwraca się na bok, aby otrzeć ukradkiem łzy. Chciałaby już wrócić do domu, bo i po co tu przyszła patrzeć, jak inni ludzie są szczęśliwi i bawią się wesoło?...

— Jak się pani ma, miss Lauro? Co tu robisz sama bez Toma?.. — odzywa się nagle głos dobrze znajomy, a ją oblewa rumieniec, bo to kapitan Craven zadaje jej to pytanie i mówi przytem, że spodziewał się zobaczyć ją dziś rano w kościele S-tej Magdaleny, gdzie była przepiękna muzyka.

Laura odpowiada, że Tom spotkał się z kolegami, którzy pociągali go ze sobą; a on, żałując, że ma z tego powodu Niedzielę mniej wesołą, pyta: czy mu pozwoli się obok siebie, na co ona

odpowiada tak miłym uśmiechem, że Craven zabiera zaraz miejsce z prawej strony i pyta: kto jest jej towarzyszką, siedząca po lewej? Czy nie jej guwernantka?

— O nie — odpowiada żywo Laura. — Już przecież nie mam guwernantki. Jestto panna służąca mojej ciotki, bardzo dobra i rozumna, przywiązana do naszej rodziny kobieta, z którą ciocia pozwala mi niekiedy wychodzić...

Craven patrzy z przyjemnością w piękne oczy dziewczęcia i z kolei tłumaczy się: dlaczego nie ukłonił się jej przed chwilą.

— Nie poznałeś mnie pan, nie widząc obok Toma — mówi Laura, ale on potrząsa głową. Nie... byłoby to rzeczą mało przyzwoitą, gdyby jej się ukłonił, siedząc na kozle i spełniając funkcje woźnicy.

Są to względy etykiety, niezachowywanej w sferach miejskiej szlachty, wśród której żyje Laura, więc rumieni się i uśmiecha; pyta z kolei: kto był jego towarzyszem w wiktoryi i słyszy nazwisko bardzo pańskie, co prawie ją martwi. Kapitan Craven jest zapewne synem jakiego lorda.

Cóż ją to może obchodzić? Obchodzi przecież, choć nie przyznaje się do tego przed sobą samą, bo wie, że nawet młodzi synowie takich rodzin żyją głównie w kołach towarzystwa najwyższych. Rozmawiają. Laura powiada kapitanowi z lekkim westchnieniem, że Tom za dwa dni musi wcać do kraju, bo wakacje jego wkrótce się skończą, i choć ona zostanie w Paryżu, nie będzie już wychodzić tak swobodnie na miasto, jak z Tomem, bo ciocia nie lubi chodzić i więcej jeździ.

— I ja za parę dni nie będę mógł tak się włóczyć po bulwarach i zaglądać do *Café Chantant* — mówi Craven — ale kto, wie czy nie spotkamy się jeszcze, bo bardzo być może, że znajdem się w okolicach pani w przyszłym miesiącu i gdybym zapukał do drzwi dworu Branktown, czy mi otworzą?

Rumieniec Laury dosięga aż czoła. Odpowiada, że papa i mama będą bardzo kontenci, przytem głosik jej lekko drży i Craven patrzy na nią uważniej; zrazu marszczy się trochę, potem przecież uśmiecha się i gładzi sobie wąsy, ale oczy jego, w których zamigotał przytem wesoły, żartobliwy wyraz, poważnieją znowu. — Byłoby to dla mnie wielką, wielką przyjemnością, gdybym mógł zobaczyć panią i poznać jej rodziców, przytem odważyłbym się przecież udzielić im jednej przestrogi — mówi pochylając się tak ku niej, aby ona tylko słyszeć mogła jego wyrazy. — Oddali panią pod nie dość troskliwą opiekę. Tom jest wybornym chłopcem, którego bardzo polubiłem, ale nie zna jeszcze życia tak, aby mógł być dobrym przewodnikiem dla młodej panny.

— Nie powinien mnie być prowadzić do Alkazu — szepcze Laura bardzo zmieszana.

— Nie o to tylko chodzi. Może nie powinien być również pozwolić, abym ja, człowiek nieznany mu, jakkolwiek ziomek, tak często mógł się otykać panią i przebywać w jej towarzystwie. Ludzie są rozmaici. Nawet niezli bywają czasem lekko-myślnymi, co się odnosi i do mnie w pewnej części. Zadługo zachowywałem *incognito*, bo przedstawilem się pani tylko wpół prawdziwie, pod moim dawniejszym, kawalerskim nazwiskiem.

Laura jest tak zmieszana, że nie dość dobrze uważa, i wyrażenie, że kapitan Craven jest jej znany tylko pod *kawalerskim* nazwiskiem, przechodzi koło jej uszu nie dosłyszane. Ma minę jagniatka, wyprowadzonego na rzeź, i on bierze jej rękę niemal po ojcowsku. — Czy się pani nie gniewa na mnie? pyta i prezentuje się teraz dokładniej, jako sir Gerald Craven z Craven Lodge.

— Czekam tu na żonę — dodaje po chwili — jest u wód w Eger i tu wyznaczylismy sobie miejsce spotkania. Spodziewam się jej dziś.. jutro...

— A pani jak długo jeszcze bawić tu będzie? — pyta, aby zmienić przedmiot rozmowy.

— Nie wiem... odpowiada mu głosik lekko drżący, a on bierze jej rękę i prosi, aby zachowała o nim wspomnienie, jak o bardzo jej życzli-

wym, choć mało znajomym człowieku. — Jestem trochę fizioognomistą — ciągnie dalej. — Z twarzą pani, z jej oczu, z jej miłego uśmiechu i łagodności jej głosu wyczytałem, że jesteś dobrem, niewinnem, najlepszego serca dziewczątkiem, które powinno być szczęśliwem na świecie, bo z pewnością da też szczęście temu, kogo pokocha. Ale, dziecko drogie, bo mogę cię tak nazwać, jako ojciec rodziny, gdyż mam i syna, który liczy już coś więcej, niż rok — dziecko drogie, nie oddawaj łatwo i prędko twego niewinnego serduszka, gdyż to skarb twój najdroższy, którego złe lub dobre umieszczenie stanowi o doli i niedoli życia każdego człowieka: a cóż dopiero kobiety! Najszczęśliwszą, a może jedynie szczęśliwą, jest ta, która kocha raz jeden na całe istnienie, ale silnie, gorąco — tak, aby miłość ta wypełniała jej życie, dawała mu cel i wartość. Poza osobistem naszym szczęściem są jeszcze obowiązki, poza osobistem ukochaniem jest wielka miłość Ludzkości, kraju, są ideały, są idee, którym na ofiarę wszystko oddać należy, ale szczęście — powtórzę — szczęście to dobra, szlachetna, nie-egoistyczna miłość dobrej też, szlachetnej, nie-egoistycznej istoty.

Umilkł. Był wzruszonym, może nie tak silnie jak w tej chwili ona, ale niemniej wzruszonym prawdziwie i szczerze. Nastąpiła też chwila milczenia, którą w końcu on przerwał. — Lorcju — rzekł zcichą, biorąc jej rączkę drobną w swoją silną dłoń mężką — czy nie gniewasz się na mnie, że obcy i niepowołany do tego nieczem ośmieliłem się dawać ci naukę; ale jestem starszy i doświadczeńszy od Toma, który też tak, jak i ty, nie zna życia.

Spojrzała na niego życzliwym, wdzięcznym wzrokiem, potem uśmiechnęła się wesoło i podniosła z krzesła. — Jeżeli spotkamy się tu jeszcze, to będziesz pan łaskaw przedstawić mnie lady Craven — rzekła i biorąc Matson pod rękę, zawróciła do domu.

MIESZCZANKA

z XVI i XVII wieku.

(Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie w XVI i XVII wieku, przez Wład. Łozińskiego. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt 1890 r.)

Nigdy się może tak bardzo nie zajmowano losem kobiety, jak za dni naszych. Na porządku dziennym znajdują się wciąż kwestye równouprawnienia, emancypacji, pracy niewiast, ustroju moralnego i rozstroju fizycznego tej zawilej istoty, w której jedni pisarze upatrują kwiat i koronę życia, inni kłopot tylko, a nawet przekleństwo. Wśród tego potoku rozpraw, badań, studyów, analiz subtelnych, względnie mała ich część zwraca się w przeszłość, acz doświadczenie uczy, iż historia nie tylko jest życia mistrzynią, lecz i zwierciadłem, rozwiązującym zagadki napozór najtrudniejsze i najbardziej zawikłane. Jakżeż np. niewiele nam jest wiadomo o roli niewiasty u nas? Chłabne wprowadzie tej niewiadomości otrzymujemy wytłumaczenie. Kobieta nasza na wzór rzymskiej, nie miała własnej indywidualnej historii. Strzegła ogniska i kądziel swą przedła. A jednak razporaz widnieje w ramach dziejowego opowiadania, a występuje tam najczęściej w tak wspólnym majestacie, że chyba jej posłannictwo nie musiało być tak zaciszem, jakby się na pierwszy rzut oka zdawać mogło. Pominawszy już ukoronowane postacie, ciekawsi tymczasem byłibyśmy tej przeciętnej istoty światła niewieściego, znajdującej się w zwykłych i ogólniejszych warunkach obowiązków, praw i zajęć potocznego życia.

Ciekawości tej po części zadość czyni p. Władysław Łoziński w księdze drugiej swego pomnikowego dzieła o Lwowie starożytnym. W pierwszym tomie opracował miejscowe złotnictwo, w drugim wejrzał w świat mieszczański i przedstawił nam wspaniałe ten patrycyat urastający z napływowych żywiołów, aby tem bujniejsze i bogatsze wytworzyć społeczeństwo, urobione z pierwiastków obcych, ale pod głównym działaniem swoistej energii, która umiała w formy własne przetopić roztropność niemiecką, kulturę włoską, ormiańską zabiegliwość, wreszcie fantazję wschodnią.

Lwów był wysuniętym posterunkiem handlu zachodniego, który się tutaj spotykał z największym szlakiem handlowym dalekiego Wschodu, idącym tedy od Carogrodu i Kaffy. Faktorya ta kupiecka miała wiele podobieństwa z rzeczami-popolitami włoskimi i odznaczała się tysamym patryotyzmem municypalnym, który po sobie na włoskiej ziemi tyle pięknych dzieł zostawił.

Lwowianie udawali się po naukę do zagranicznych ognisk wiedzy, dalekie nieraz za zyskiem odbywali podróże, ale stale wracali do rodzinnego miasta, nigdy dobrowolnie nie opuszczając jego murów.

Nie wnikając w szczegóły tej cennej monografii, która wskrzesza przed nami zanikłe do statki i kulturę lwiego grodu, pochwycimy rozproszone w obszernej księdze rysy obyczajowe, dotyczące wyłącznie roli niewiast wśród wyższego patrycyatu miasta. Rola to tem ciekawsza, iż kobieta dzieląca tu trudy i zabiegi męzowskie odpowiadała ideałowi Pisma S-go niewiasty męznej, która, niby okręt kupiecki, przywozi żywność i zaopatruje potrzeby podległego sobie światka. Mieszczanin lwowski znajdował, zaiste, w żonie *adjutorium simile sibi*, współpracowniczkę i uczestniczkę w znojach zawodu zawsze pracowitego, nawet, gdy był już w ziemskie dobra wyposażony. Cechą to bowiem było naczelną mieszczaństwa lwowskiego w XVI i XVII w., iż powodzenie nie zmieniało powołania. Wzbogaconemu kupcowi nie śniło się ojcowską opuszczać ładę, sięgać po zaszczyty i dostojenstwa inne, niż te, jakie zapewniał miejscowy patrycyat. Zrazu nawet niechętnie patrzano tam na związki ze szlachtą, co się jednak z czasem zatarło, zwłaszcza, gdy nobilitowane w 1659 r. miasto zrównało się przywilejami z rycerskim stanem na wzór Krakowa i innych miast, a córki mieszczańskie wychodziły poczęły za Tarnowskich, Wiśniowieckich i Chodkiewiczów.

To zadowolenie z własnego położenia i urodzenia, to trzymanie się wydeptanych przez ojców ścieżek, wytrwałość w kupieckim zawodzie—stanowią bogactwo, a zarazem wartość lwowskiego patrycyatu. Podnosi się poziom oświaty, rośnie zamilowanie do wszystkiego, co dobre i piękne, a że w pośród innych miarą stopnia cywilizacji każdego społeczeństwa, jest także poszanowanie dla płci słabszej, przypatrzmy się zatem, jaką powagę i pozycję we Lwowie zdobyła sobie kobieta.

Studując akta radzieckie i archiwa miejskie, autor w intercyzach, działach, testamentach, napotkał mnóstwo dowodów szacunku i czułości, jaką otaczano tam kobiety, a mianowicie żony i matki. Mieszczaństwo lwowskie posiadało w wysokim stopniu zmysł rodzinny i wielkie poczucie zacności domowej. Niedarmo miasto słynęło z poczywych obyczajów i zasłużyło sobie na tytuł dodatni: *civitas honestissima*. Jeden między innymi szczegół wymowne rzuca światło na stanowisko niewiasty w tem nawskroś uczciwym społeczeństwie: szukać żony—nazywało się szukać *przyjaciela*, tytuł ten przystawał raznawazsze do towarzyski życia. Pięknie się tu odzywa p. Łoziński i jego też słowa przytoczyć tu musimy: „Przed ślubem kobieta mogła być *kochanką i przyjaciółką*, po ślubie, jako małżonka, stawała się *przyjacielem*, tak jakby w małżeństwie traciła wszelką płci swojej słabość i płochosć, a podnosiła się do męskiej mocy i stateczności”. „Rzeczywiście — odzywa się trafnie autor — w tym ustalonym sposobie wyrażania się o żonie leży wiele z tego znaczenia, zawiera się w tem myśl

całkowitego zrównania, bez którego niema zupełnej wspólności i zupełnego szczęścia w małżeństwie”.

Ze studyów p. Łozińskiego wynika, iż mieszczańska lwowska pod względem wykształcenia i elegancji nie ustępowała szlachciankom, a przewyższała je praktycznością i pewną samoistością, skoro umiała zastąpić męża i w sklepie i w rachunkach. Owa rządność niewieścia stanowiła bodaj podstawę utrwalaonych przez czas dłuższy dostatków lwowskiego patrycyatu, nie nawiatr bowiem przysłowie mówi, iż „mądra żona trzy węgły domu stanowi”. Wszystkie społeczne dokumenta rzucają dodatnie światło, tak na czułą uczciwość małżeńską pożycia, jak na rozumną kobiet zaradność i rządność. Próżno tu szukać romansowego sentymentalizmu, wykwitu późniejszych wieków, ale jest wiele zaufania, wiele serca i rozumu, a co stanowi takie silne w stadle ogniwo, wiele materyjalnego interesu we wspólności dorobku. Żona „przyjaciela”—dodaje p. Łoziński—reprezentowała kupcowi prawdziwy kapitał pracy, wierności i inteligencji, tak dalece, że nieraz się spotykamy z jego likwidacją na sumę pieniężną. I tak, np. p. Baltazar Grabowski, processując się z p. Anastazją Paparową, o niedotrzymanie mu obietnicy i kilkoletnie bałamucenie, po którym wyszła za innego, dodaje w skardze wyliczającej swe krzywdy i koszty: że go do tego przywiódła „iż przyjaciela i gospodyni w swoim domu przez lat tak wiele nie mogłem mieć dla niej, gdzie mając przyjaciela, — wiem, że byłbym lepszym na każdy rok tysiącem, lub dwiema”. Nie dziw, iż tak, jak dziś u ludu, wдовіе żale niedługo trwały. Mąż rychło po śmierci żony szukał nowych związków, żona poprzedzając dobierała sobie opiekuna i małżonka, co nie przeszkadzało, iż tak pierwsze, jak drugie śluby bywały pocziwe, szczęśliwe i czułe.

Z odłamów tylko i okruszyn można dziś odbudowywać ten świat zanikły, wskrzeszać to społeczeństwo zapomniane. Odnaczający się dumem pocuciem rodowem, ród Wilezków, pamiętniczkiem swym dodaje niejeden rys więcej do tego, co wiemy o powadze niewieściej z owych lat i stosunków. Zachowało się kilka kartek z ich księgi rachunkowej; z nich nietylko poznajemy znaczny obrót handlu sukienniczego, lecz nadto i ustaloną praktykę nieoddawania towaru bez znacznego zastawu. Ten złożył srebra, tamten pierścien, ten jeszcze guzy szczerokłote, a wszystkie te fanty zawsze się znajdują u „dobrodziejki”—jak p. Wilczek stale żonę swą mianuje. Otrzymujemy tu także pamiętniczek małego mieszczanina, Kunaszczuka, który wszystkie zgryzoty rodzinne zapisuje jako rachunkowe pozycje. Ten syn tyle go kosztował, tamten na tyle zarwał, na zięcia pogrzeb tyle a tyle pieniędzy poszło. „Bezpłatnych smutków snadź nie zapisywał wcale—mówi p. Łoziński — a że go żona nigdy nie nie kosztowała, prawie więc o niej nie wspomina”.

Pięknie świadczy o praktycznym rozumie Lwowianek testament Agnieszki Korzeniowskiej, która pamięta o Bogu i o ludziach, wie co ona ludziom, co jej znowu ludzie winni, tak we wdzięczności, jak w pieniądzech. Rozczulającą jest jej troskliwość o starą sługę, której los zabezpiecza. Uderzyły nas mianowicie rozporządzenia co do kamienicy, w której *ordynuje*, aby czynsze były podniesione „w słusznej mierze nie według dawnej tary, gdyż to teraz wszystko drożej; Pani Matka moja brała z tych wszystkich cząstek kilkadziesiąt złotych, a ja kilkaset.” I to jeszcze, że sama waży skrupulatnie klejnoty swoje i kosztowności, przekazując je na pobożne i dobroczynne cele, i upominając, aby taxa była sprawiedliwa „według Boga i słuszności, bo przypatrzyłam się temu, jako po zmarłych taxują; wszakże opisałam ile co waży i kosztuje.”

(Dokończenie nastąpi).

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Maneż elektryczny.—Miarą fizyczną znużenia umysłowego.—Heliofilia.—Elektryczność jako środek do wykonywania kary śmierci.—Produkcja złota i srebra.—Ozon i woda utleniona.

P. Salle urządził w Nicei maneż, w którym obecnie odbywa się jazda konna przy pomocy elektryczności. Konie, naturalnie, drewniane, umieszczone są na wózkach, które biegają po szynach kolisto ułożonych. Rozumie się, że tego rodzaju jazda stanowi coś pośredniego między karuzelą, welocypedem a konną jazdą i nie może być zaliczoną do szlachetnych sportów, przy uprawianiu których wykazuje się zręczność, siłę i odwagę; w każdym razie jest to zabawka przyjemna, jeżeli nie trwa zbyt długo, wtedy bowiem nuży jednostajnością. Przyjrzyjmy się jej bliżej.

Każdy z wózków, na którym pomieszczonym jest koń drewniany, porusza się za pośrednictwem motorów elektrycznych, a każdy pojedynczy motor otrzymuje prądy elektryczne z głównego generatora: szybkość zatem jazdy może być dowolnie regulowaną przez jeźdźcę, chociaż nie powinna przekraczać pewnej granicy, zależnej od kierującego całą zabawą. On jeden tylko może nadawać każdemu pojedynczemu koniowi szybkość, jaką zechce.

Urządzenie maneżu składa się z motora gazowego o sile dwunastu koni, który obraca machynę dynamo-elektryczną systemu Rechiniewskiego. Prądy elektryczne, idące z niej do 6 motorów, pomieszczają się na tylnych osiach kół każdego wózka i wprawiają w ruch. Szybkość biegu każdego wózka, zatrzymywanie i puszczenie w ruch, są zupełnie niezależne od ruchów innych wózków, a zatem mogą być dowolnie wykonywane przez jeźdźcę, naturalnie, w granicach zakreślonych przez kierującego. Motory i machyna dynamo-elektryczna w swej konstrukcji nie przedstawiają nic szczególnego. Szybkość zaś każdego konia może być dowolnie normowaną za pośrednictwem odpowiedniego przyrządu (*reostatu*), przerywacz zaś pozwala powstrzymywać danego konia, nie wpływając wcale na ruch innych.

Wszystkie ruchy — jak już zresztą wyżej zaznaczyliśmy — mogą być regulowane przez elektrotechnikę, kierującego całą zabawą i pilnującego, aby skutkiem zbyt szybkiej jazdy nie było jakiegoś nieszczęśliwego wypadku. Uskutecznić to on może za pośrednictwem ogólnego regulatora, który posiada kształt tarczy, pomieszczonej na platformie ponad maneżem. Na tarczy tej znajduje się jeden *kommutator*, przy pomocy którego można puścić w bieg albo też zatrzymać wszystkie konie odrazu; dalej—sześć kommutatorów pozwalających puścić lub zatrzymać każdego konia. Dyrektor zatem jest w możności hamować zbyt krewkich jeźdźców w ich zapędach, a także może w razie potrzeby zatrzymywać wszystkich. Urządzenie to zabezpiecza od możliwych wypadków, jak np. skutkiem spadnięcia z konia, zemdlenia i t. p. Jazda tego rodzaju cieszy się obecnie w Nicei wielkiem powodzeniem. Odbywają się tam już nawet *wyścigi elektryczne*. Ostatecznie wszelako jest to tylko figielek.

*

*

*

Humboldt podaje bardzo prosty sposób na mierzenie znużenia umysłowego. I tak pewna liczba osób, możliwie tegosamego wieku i tejsamej płci, ujmują się za ręce, tworząc w ten sposób łańcuch, przyczem każdy usiłuje uściśnienie otrzymane od sąsiada swego z jednej strony, natychmiast przemieścić na rękę sąsiada z drugiej. W ten sposób tworzy się łańcuch uścisków. Czas niezbędny

do przeniesienia uścisku, a właściwie czas upływający od chwili otrzymania w mózgu wrażenia do chwili, w której otrzymany bodziec przeniesionym zostanie na mięśnie ręki, bywa rozmaity i zależy od stanu, w jakim się znajduje systemat nerwowy u danej osoby.

Czas upływający od chwili pierwszego uściśnienia aż do chwili otrzymania uścisku powrotnego przez tę samą osobę, dzieli się przez liczbę osób tworzących koło, i w ten sposób otrzymuje się przeciętną wartość czasu niezbędnego dla odbycia tego procesu u jednej osoby. Gdy osoby połączone takim łańcuchem słuchają np. nudnego wykładu, w takim razie czas ten krótszym jest w początkach wykładu, aniżeli w końcu, skutkiem bowiem znużenia umysłowego w tym ostatnim razie praca mózgowa, niezbędna do przeniesienia wrażenia uścisku, musi trwać nieco dłużej.

*

*

Gazety lekarskie wiedeńskie opisują szczególną chorobę, którą nazwano *Heliofilia*. Wyraz ten oznacza według d-ra Sentinon, *miłość do słońca*. Do utworzenia tego wyrazu dała powód szczególna choroba nerwowa dostrzeżona w górach Katalonii. Opisał ją szczegółowo dr Robert w specjalnym piśmie lekarskim: *Revista de Ciencias Medicas de Barcelona*. Pacjentem był młody człowiek, zkądną zupełnie zdrow, zarówno pod względem fizycznym, jak i umysłowym. Gdy jednakże znalazł się w miejscowości, z której mógł widzieć słońce, niezwłocznie kierował ku niemu wzrok, jakby był przyciągnięty jakąś niewidzialną, magnetyczną siłą. Otwierał natenczas powieki, jak tylko mógł najszerzej, źrenice nadmiernie mu się rozszerzały, a na twarzy występował wyraz najwyższego zachwyty. Nadmienić jeszcze wypada, że wszystkie jego zmysły funkcjonowały prawidłowo, że mógł przebywać w bardzo jasnym pokoju i być wystawionym na na najsilniejsze światło bez żadnych szczególnych objawów.

Gdy zaś patrzył w słońce, zdawało się, iż całą jego uczuciowość, całą wrażliwość koncentruje się w siatkówce oka, i to w takim stopniu, że natenczas nie słyszał, co się wkoło niego działo, nie odczuwał nawet bolesnych dotknięć, ręce miewał silnie zaciśnięte, jak ludzie dotknięci napadem epileptycznym, a ramiona zbliżone do środka ciała. Jednocześnie doznawał dreszczów i kurczów. Gdy dr. Robert chciał usunąć pacjenta z miejsca zachwyty, musiał na to użyć dwóch ludzi, albowiem chory miewał wówczas nadludzką siłę i stawał zacięty opór, przyczem wzrok zwracał bezustannie ku słońcu. Po odprowadzeniu go do miejsca, z którego nie mógł widzieć słońca, stopniowo się uspokajał, mięśnie utracaly z wolna swą sztywność i *heliofil* powracał do stanu normalnego.

*

*

*

Od dawniejszego już czasu pracowano w Ameryce nad tem, aby zastosować elektryczność do wykonywania kary śmierci. Nie podlega wątpliwości, że nadzwyczaj silny strumień elektryczny zabija natychmiast, jak to widzimy u ludzi różnych piorunem, a także u tych, którzy zginęli skutkiem nieostrożności przez zetknięcie się z przewodnikami, po których biegły silne prądy elektryczne. Pomimo to przyrząd elektryczny do zabijania ludzi okazał się w smutnej praktyce nieodpowiednim, jak tego dowiodło przed niedawnym czasem wykonanie kary śmierci w Ameryce na skazanym Kemmlerze. Śmierć nastąpiła dopiero po puszczeniu kilkakrotnem prądów i poprzedzoną była cierpieniami: a zadaniem właśnie tego sposobu wykonywania kary śmierci miało być oszczędzenie skazanym wszelkich cierpień. Zresztą lekarze i uczeni wiodą z powodu tej pierwszej próby kary elektrycznej ożywione spory pomiędzy sobą w gazetach amerykańskich. Stwierdzono mianowicie obecnie, że między puszczeniem pierwszego a drugiego prądu upłynęły dwie minuty, co, naturalnie, przyczyniło się do opóźnienia śmierci, a czego można było doskonale uniknąć.

Wszyscy obecni przy exekucyi, prócz lekarzy, utrzymują, że gdyby drugi prąd został spóźniony jeszcze o minutę, Kemmler byłby odzyskał przytomność. Najbardziej jednakże poważnem jest zdanie genialnego Edisona.

Utrzymuje on, że elektryczności użyto w sposób niewłaściwy. Elektrody powinny być przyłożone do rąk a nie, jak to miało miejsce w danym wypadku, do głowy, gdyż włosy są złym przewodnikiem elektryczności i prąd musiał przejść przez kości czaszki, aby oddziaływać na mózg. Trzydzieści wypadków, w których ludzie zostali zabici w Nowym Yorku skutkiem przypadkowego działania elektryczności, dowodzi, że właśnie ta siła przyrody nadaje się do wykonywania wyroków śmierci.

*

*

*

Czasopismo *Nature* podaje ciekawą statystykę produkcji złota i srebra na całym świecie. Otóż od roku 1885 do 1888 wynosiła ona corocznie po 160 ton czyli po 160.000 kilogramów. Największa ilość przypada na Stany Zjednoczone. W ciągu ostatniego czterolecia wydobyto tam corocznie z wnętrza ziemi około 200 ton drogiego metalu. Drugie miejsce zajmuje Australia. Nie wielka ta część świata tak jest zasobną w złoto, że corocznie produkuje go 42 ton. Trzecie miejsce w rzędzie złotodajnych krajów zajmuje Rosya, wydaje bowiem corocznie 32 tonny złota. Czwarte miejsce przypada na Chiny — 31 ton. Co do innych krajów, to zajmują one pod względem produkcji złota bardzo podrzędne stanowisko. Afryka dostarcza około 7, Chili, Kolumbia i Kanada po dwie, Meksyk półtony, Brazylia 331 zaledwie kilogramów, Ameryka Środkowa 226, Anglia prawie tyleż, Włochy 160, Boliwia 100, Szwecya 76, Argentyna 47 wreszcie Turcyja wszystkiego 10 kilogramów.

Produkcya srebra, wzrastająca bezustannie od roku 1851, nie przestała ani na chwilę rozwijać się w tym kierunku. W pięcioleciu od 1851 do 1855 wynosiła wszystkiego 836 ton, w okresie od 1876 do 1880 wzrosła do 2.450 ton, od 1881 do 1885 do 3.427. Tutaj, podobnie jak w produkcji złota, pierwsze miejsce zajmuje Ameryka Północna. Same tylko Stany Zjednoczone dostarczały światu w ostatnim czteroleciu po 1.424 ton corocznie. W Stanach Zjednoczonych w produkcji srebra drugie miejsce zajmuje Meksyk, gdzie ilość wydobywanego metalu corocznie wzrasta. W roku 1888 Meksyk dostarczył rynkom 395 i pół tonny srebra. Boliwia wydała 264 ton, Chili 205, Australia zaś zajmuje — zaledwie piąte miejsce, produkuje bowiem obecnie przeciętnie 120 ton rocznie. Szóste miejsce przypada Peruui, roczna bowiem jej produkcya wynosi 75 ton. Inne kraje srebrodajne idą w następującym porządku: Francya, Austro-Węgry, Hiszpania po 50 do 51 ton; Włochy około 34 ton; Japonia 32; Kolumbia 28; Niemcy 23 ton; Rosya 14. Po nich następują: Kanada i Argentyna po 10 ton, Ameryka Środkowa 8½, Norwegia 7, Anglia 6½, Turcyja 4½ ton.

Powszechnie mniemano, że Afryka jest nadzwyczaj bogatą w metale szlachetne; tymczasem nadzieje pod tym względem nie ziściły się. Uboża w złoto, jest jeszcze uboższą w srebro. Naturalnie, odnosi się to tylko do tej małej cząstki Afryki, z którą zetknął się dotychczas przemysł i handel europejski. Olbrzymich obszarów „czarnego lądu“ dotychczas jeszcze nie zbadano: nie wiadomo zatem co cywilizacya w nich z czasem odkryje.

Oceniając wartość złota i srebra według obecnego kursu, okaże się, iż coroczna produkcya złota warta jest 550 milionów franków, zaś produkcya srebra 740 milionów franków.

*

*

*

Sądzone niejednokrotnie, że ozon jako też i woda utleniona tworzą się w procesie pocenia, nie zdołano jednakże dotąd otrzymać w tym względzie dowodów przekonujących. Niedawno znowu sprawą tą zajął się p. Ilosvay i zbadał najdokładniej produkta wytwarzające się przy spalaniu

się wodoru, tlenku węgla, metanu, gazu oświetlającego, alkoholu, eteru, nafty, benzyny, magnezu, świec stearynowych, opilek żelaznych, fosforu, siarki i cynku. Okazało się, że przy żywym paleniu się powyższych ciał ozon nigdy się nie wytwarza, lecz, że odczyny chemiczne, które przypisywano temu gazowi, wywołuje kwas azotawy. Jedynie gdy fosfor ulega bardzo powolnemu spalaniu, można z dokładnością wykazać tworzenie się ozonu. Nie udało się również w żadnym razie stwierdzić powstawania wody utlenionej; za to, z wyjątkiem tych wypadków, gdy wytwarzają się ciała odtleniające, powstają niewątpliwie i tlenki azotu. Rezultaty te zgadzają się najzupełniej ze znanym faktem, że ozon całkowicie się rozkłada powyżej 240°, a woda utleniona już w temperaturze jasnego żaru. Natomiast w wysokich temperaturach azot łączy się z tlenem i wydaje tlenik azotu, a dalej jeszcze tlenki wyższe.

Od czasów Schönbeina (1840) utrzymywano powszechnie, że zarówno ozon, jak i woda utleniona, znajdują się w powietrzu, a obok wyładowań elektrycznych i parowania wody wskazywano jeszcze czynny tlen jako źródło dostarczające ozonu. Z powodu ujemności rezultatów otrzymanych przez p. Ilosvay'a ponownie zbadano zawartość powyższych ciał w powietrzu. Rezultat jednakże otrzymany w najrozmaitszych warunkach, zarówno w Buda-Peszczie, jak i w okolicach miasta, był bez wyjątku ujemny. Okazało się mianowicie, że powietrze nie zawiera, ani ozonu, ani wody utlenionej; albo też, — nie posiadamy, jak powiada autor, sposobów wykazania tych ciał w atmosferze; kwas bowiem azotawy, który posiada podobne jak te ciała odczyny chemiczne, a który zawsze zawarty jest w powietrzu, nie może zeń być usuniętym do tego stopnia, ażeby skutkiem tego jednocześnie nie zmieniła się ilość ozonu i wody utlenionej. Dalsze próby przekonały autora, że ilość zawartego w powietrzu kwasu azotawego większą jest w miesiącach wiosennych niż w letnich, większą we dnie, niż w nocy, a także, iż wzrasta w wyższych warstwach atmosfery, a więc, że w ogólności zachowuje się taksamo, jak to powszechnie twierdzono o ozonie. W tem więc upatruje Ilosvay potwierdzenie swego przypuszczenia, że dotychczasowe obserwacje dotyczące ozonu i wody utlenionej odnoszą się zapewne całkowicie do kwasu azotawego. Autor nie uważa tego ważnego przedmiotu skutkiem swoich doświadczeń za wyczerpany, lecz pracuje nad nim w dalszym ciągu.

Dr. J. S.

Kronika działalności kobiecej.

— Leonowa Bertaux, rzeźbiarka, wniosła do rządu francuskiego petycję, żądającą otwarcia w Paryżu szkoły sztuk pięknych dla kobiet.

— Trzy młode Niemki, panny: Egglers, Heners i Dusca w czasie letniej wycieczki do Szwajcaryi weszły na szczyt Jungfrau. Nocowały w schronisku „Concordia Hüt“ już w sferze lodowców i porankiem puszczały się w drogę dalszą, która tam i napowrót trwała godzin sześćnaście wśród niebezpiecznego drapania się pod górę i zstępowania na dół, co dowodzi w młodych podróżniczkach nie tylko śmiałości i szlachetnego zamilowania w pięknościach natury. Silne są, mogą też z równą odwagą i wytrwałością piąć się pod górę życia.

— W Edynburgu szkockie narodowe stowarzyszenie, popierające medyczne studia kobiet z celem głównym rozszerzenia pomocy lekarskiej do tych wsi górskich, gdzie utrudniona komunikacya utrudnia też mieszkańcom przyzywanie lekarza w razie potrzeby, założyło *Kollegium Medyczne* dla kobiet, gdzie studyujące znajdują tesa-me wykłady oraz pomoce naukowe w miejscowej *Szkole medycznej* dla mężczyzn. Opłata jednokowa.

— W Londynie zawiązało się stowarzyszenie *Frzyjaciółek dziewcząt służących*. Ośmset pań weszło do stowarzyszenia i blisko 7.000 dziewcząt między trzynastym a dwudziestym rokiem życia znalazło w nich opiekunki. Troskliwość stowarzyszonych zwraca się głównie na sieroty i dziewczęta przybywające ze wsi; lecz i w Londynie urodzone, przecież dostatecznej opieki ze strony rodziny niemające, nie są tu pomijane, zwłaszcza, że większość tych dziewcząt ma rodziców bardzo ubogich i prostych, a znaczna ich część wychowywała się w zakładach miłosiernych, z których muszą się dźwigać o własnej sile.

— Za staraniem stowarzyszenia kobiecego w Nowym-Yorku: „Womans Law School Association“ Emilia Kempin, doktorka prawa, rodem ze Szlązka, miała odczyt o prawnych stosunkach między małżonkami w Europie. Głównie traktowała różne systemy majątkowych stosunków między małżonkami i porównywała je z amerykańskiem prawem zupełnej rozdzielności majątkowej męża i żony, wykazując, że jakkolwiek przymus wspólności majątkowej i zarząd męża majątkiem żony jest często uciążliwym dla kobiety i naraża ją na straty, jednak prawa amerykańskie, odsuwające zupełnie męża od czuwania nad mieniem żony, przyczyniają się niejednokrotnie do ciężkich strat dzieci i ogniska domowego wogóle. Następnie prelegentka wykazywała, że wobec takiego stanu rzeczy Amerykanki więcej, niżeli kobiety w Europie, potrzebują znać prawo, i w tej to myśli urządziła ona zeszłorocznej zimy w Nowym Yorku wykłady prawa dla kobiet, zamysławiając przetworzyć je zczasem na kobiecą szkołę prawa z regularnymi i szerszego zakresu wykładami. Po skończonym odczycie prelegentki występowało kolejno na mównicę kilku mężczyzn, mężów nauki w danym przedmiocie, a między nimi sędzia, Noe Davis, popierając zdanie prelegentki, że znajomość prawa potrzebną jest kobiecie, i to nie tylko dla jej wewnętrznych stosunków w domu, w rodzinie. Każda właścicielka jakiegokolwiek mienia, oraz każda kobieta samotna, powinna znać prawa swego kraju, aby umiała stosować się dobrze do nich, nie narażając siebie i innych na straty. Obok tego znajomość prawa wyrabia uczucie prawowitości, potrzebne każdemu, aby sąd nasz o rzeczach był sprawiedliwym i nie fundował się głównie, jak to zwykle bywa u kobiet, na zawodnej podstawie uczucia. Potrzeba kobiecych szkół prawa została uznana przez zgromadzonych słuchaczy w zasadzie i zapisało się zaraz 10 osób, jako pragnących popierać ruch w tym kierunku.

— Stan Nowego Yorku przyjął nowo-wydane prawo, według którego ojciec oddający dzieci swoje do zakładów filantropijnych lub dobroczynnych obowiązany jest przedstawić piśmienne na to zezwolenie matki.

— Świeżo do Anglii przybyła z Ameryki Angielka Mrs Ormiston Chant miała w Londynie odczyt o kobietach amerykańskich, dowodząc, że Amerykanka nie używa bynajmniej wyższej, niż w Europie opieki prawa, a jest tylko swobodniejszą w zakresie form obyczajowych, które są tam wogóle luźniejsze. Za to kobieta robotnica jest w Ameryce o wiele szczęśliwszą, niż w Europie. Sprawozdanie doroczne departamentu pracy mieści w wykazach za rok 1889 bardzo ciekawe i godne uwagi szczegóły pod tym względem. W zakresie pracy kobiecej jest to dzieło kobiet statystyczek i przedstawia obraz pracy kobiecej w dwudziestu dwóch wielkich miastach. Ogarniając 343 gałęzie pracy kobiecej w przemyśle, pozostawia na stronie prace w dziedzinie sztuki, literatury i nauki. Największe różnice z układem życia europejskim przedstawia los

kobiety robotnicy, co przecież jest skutkiem ogólnego stanu spraw i pojęć tamtejszych, oraz stosunków ekonomicznych. W miastach mniejszych robotnik zajmuje zwykle cały domek, wprawdzie położony na ulicach odległych od środka miasta, ale za to otoczony niemal zawsze ogródkiem i mający kilka pokoi, od 4 do 6, których sprzęty wyglądają bardzo przyzwoicie, i córka takiej rodziny, która zwykle skończyła szkołę miejską, nie uważa się bynajmniej za nieszczęśliwą i w dół życia zepchniętą istotę, pracując w fabryce lub jakim zakładzie przemysłowym. W miastach większych, na przykład w Bostonie, gdzie wielki ruch przemysłowy ściąga do fabryk znaczną liczbę rąk pracujących, robotnice samotne zajmują mieszkania najęte już ze sprzętami, i wspomniane sprawozdanie zamieszcza to jako skargę, że często takie dziewczęta samotne zajmują mieszkania w domach nie mających dla ich użytku pokoju gościnnego „parloir“, co spowodza ten smutny skutek, że są wtedy pozbawione stosunków towarzyskich i nie mogą przyjmować u siebie znajomych, zwłaszcza mężczyzn, jeżeli nie chcą wydawać na mieszkanie więcej, niż dochody ich pozostawiać mogą. Robotnice korzystają ogólnie z czytelnicy publicznych, bywają na odczytach, koncertach i w teatrach; niektóre należą do klubu literackiego, a jedna z pomiędzy robotnic bostońskich należy do klubu literackiego Browninga, ponieważ jest stałą współpracowniczką jednego z tamtejszych pism belletrystycznych, gdzie umieszcza udatne wierszyki.

I jest tak nie tylko z tą jedną, którą talent podniósł i wyróżnił z pomiędzy innych, a dodać należy, że robotnice amerykańskie są niemal ogólnie uczciwe, spokojne i religijne, szanowane też przez pracodawców swoich i posiadają ten już zasób wykształcenia umysłowego, który nie dopuszcza takiego, jak w Europie, rozdziału klas. Przecież w wielkich miastach, jak Nowy-York, Nowy Orlean, Chicago, napływ emigrantów z Europy stosunki te zmienia niekorzystnie; niemniej i tu niema pomiędzy robotnicami, które raz miejsce znajdują, takiej biedy, takiego nędznego życia, jak w Europie, jakkolwiek według wspomnianego sprawozdania muszą one mieszkać na cichych i smutnych, nędznie zabudowanych ulicach, mieścić się nieraz po dwie w niewielkim pokoiku „bez kawałka dywanu“ lub po cztery w większym; kąpeli nie mogą też używać często, nie posiadają bawialnego pokoju dla przyjmowania gości, ani jadalnego, i jedzą tam, gdzie się gotuje i pierze. Muszą więc ograniczyć się w stosunkach towarzyskich do rozmowy i spotkania się ze znajomymi, zwłaszcza mężczyznami, do ogrodów i skwerów publicznych.

Przeważną większość robotnic składają dziewczęta, mieszkające, jeżeli nie przy rodzicach, to przy znajomych rodzinach; liczby wspomnianego sprawozdania wykazują, że mężatka pracuje tu niezmiernie rzadko na zarobek poza rodziną, a dziewczęta mogą sobie jeszcze coś odłożyć na przyszłość. Do tak pomyślnego stanu kobiety pracującej przyczyniają się tam rozmaite stowarzyszenia, zwłaszcza filantropijno-religijne. Do najczynniejszych należy *Chrześcijańskie stowarzyszenie młodych kobiet* (Young Women Christian association) rozgałęzione szeroko do wszystkich niemal większych miast Stanów Zjednoczonych. W Bostonie wspomniane stowarzyszenie ma trzy domy urządzone z największą wygodą, z troskliwą starannością na wszystkie potrzeby i godziwe chęci stowarzyszonych. Sypialnie obszerne, pełne światła i powietrza; biblioteki, dostarczające czytelnikom potrzebnej wiedzy, a z drugiej strony rozrywki przyjemnego czytania w chwilach przeznaczonych na odpoczynek; pokoje go-

ściinne ładne i wesołe, pożywienie zdrowe i obfite, a obok tego szkoły zawodowe, w których stowarzyszone uzdolnić się mogą we wszelkich robotach kobiecych, poczynając od białego szycia i gospodarstwa domowego, rachunkowości, stenografii, śpiewu, muzyki, języków, zwłaszcza francuzkiego, aż od nauk literacko-historycznych, w czym przez zorganizowanie lekcji zbiorowych dopomaga akademii umiejętności Shakatawa.

Prócz tego istnieją w Bostonie dwa *towarzystwa przyjazne młodym dziewczętom*, katolickie i protestanskie: „Girl's Friendly Society“ dostarczające im pomocy w wyszukiwaniu sobie pracy i mieszkań, wolnych od psujących wpływów, przychodzące z pomocą dziewczętom świeżo przybywającym do miasta lub podróżującym. Jest obok tego *Nowoangielskie towarzystwo pomocnej ręki*, „New England Helping Hand“, które udziela dziewczętom pracującym lub pracy pragnącym, nauki tu potrzebnej, oraz wskazówek względem urządzenia sobie życia w sposób możliwie wygodny i nienarazający na złe sąsiedztwo.

Nowy York nie pozostał na boku wobec tej miłosiernej dążności wspierania młodości, która musi iść w życie o własnej sile. Istnieje tam również wiele stowarzyszeń podobnie opiekuńczych, a między niemi najważniejsze *Stowarzyszenie klubów dziewcząt pracujących*, łączące ze sobą 19 klubów młodych robotnic z celem zaprzyjaźniania ich między sobą i dostarczania wzajemnego dobrej rady, oraz tej wymiany usług przyjaznych, niedającej się niczem zastąpić, w tym wieku szczególnie, który, przywiązując się do kogoś, i opierać się też sercem na kimś musi. Stowarzyszenie to otrzymało od bogatej pani, niegdyś też robotnicy fabrycznej, dar wielce cenny: posiadłość wiejską, położoną wśród lasów, gdzie stowarzyszone przepędzają w porze letniej dnię święteczne, a znużone i słabe przybywają dla wzmocnienia sił na świeżem powietrzu. Jest dla takich miejsc trzydzieści.

W Nowym Yorku także istnieje stowarzyszenie opieki prawnej, rozciągającej się nad pracującymi kobietami: „Working Womens Protective Union“, połączone z kantorem stręczeń. Jest tam również *Klub sprawiedliwości*, „Equity Club“, czuwający nad sprawiedliwym wynagradzaniem pracy kobiecej i usunięciem pośredników mało sumiennych, dostarczający robotnicom po cenach uczciwych potrzebnego do pracy ich materiału, ułatwiający zbyt przedmiotów na sprzedaż wyrobionych. D-r Stanton Coit wznosił niedawno dla robotnic najuboższych instytucją sąsiedzkiej pomocy i rozrywki i w dzielnicy miasta zamieszkaną przez ludność najciężiej pracującą założył *Giełdę sąsiedzką*, to jest otworzył dla nich obszerną salę z ogródkiem, gdzieby mieszkające w tej części miasta robotnice mogły się schodzić i spotykać ze sobą, zaprzyjaźniać się i, korzystając z przyjemności poufnej pogawędki udzielać sobie wzajem rad i wskazówek, tak często potrzebnych młodości samotnej, bez opieki i możliwości oparcia się na doświadczeniu starszych.

Ze dobroczynne te starania nie zostają bezowocnymi, poświadcza fakt, przez liczby wykazów statystycznych potwierdzony, że robotnice amerykańskie najmniej ulegają złym wpływom miast wielkich.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 5-ty powieści pod tytułem: *Administrator*, przez Golo Raimunda. Przekład C. Niewiadomskiej.

TREŚĆ: Książd murzyn przez M. Ilnicką. — Walka Tytanów, przez J. Nitowskiego (dokoń.) — Letnia wycieczka. — Mieszczanka XVI i XVII wieku, przez M. — Z działu przyrody. Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych, przez Dr. J. S. — Kronika działalności kobiecej.

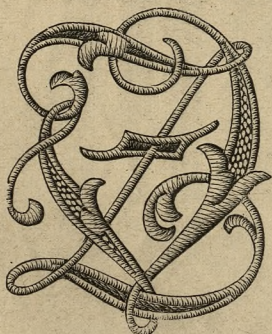
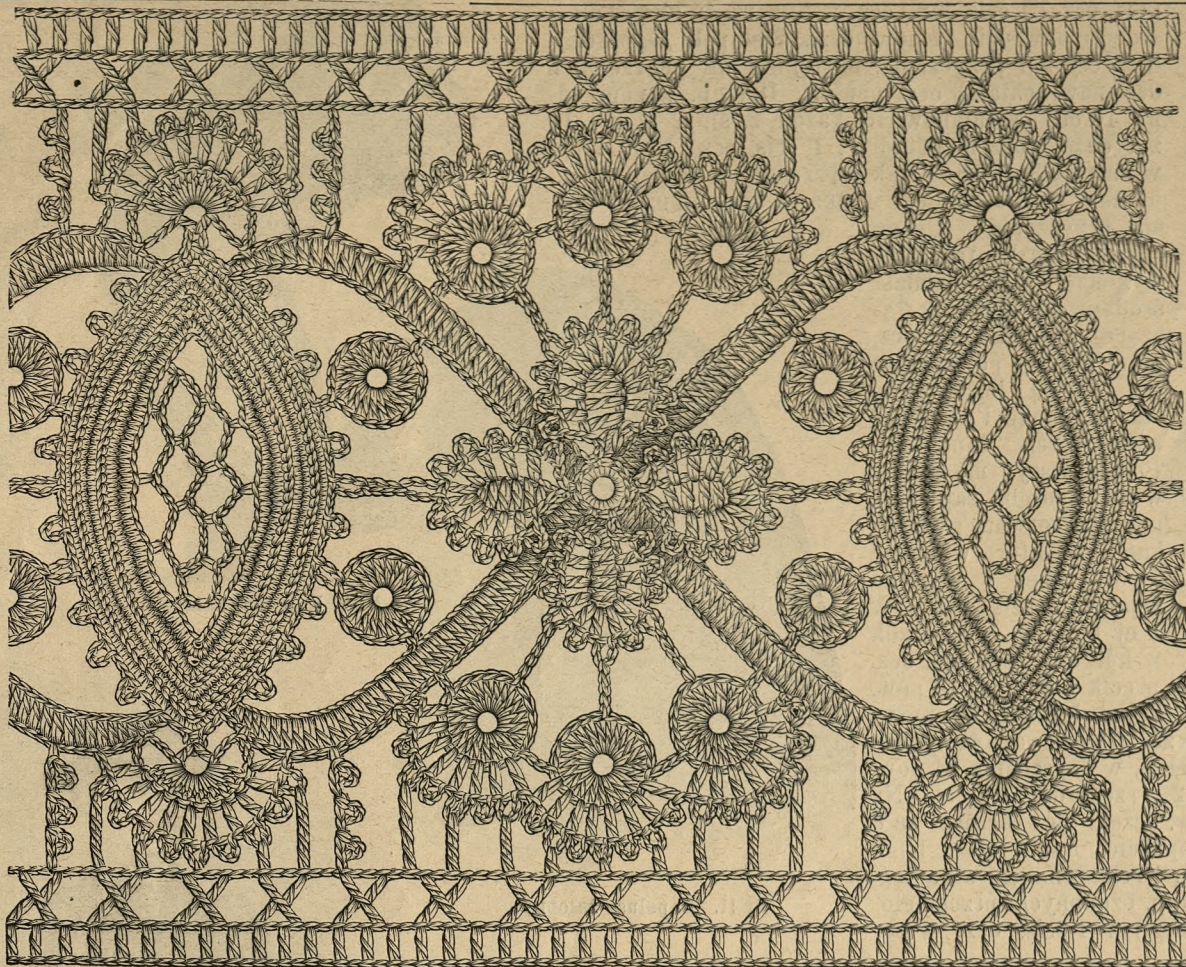
Dodatek obejmuje: Arkusz 5-ty powieści, pod tytułem: *Administrator*, przez Golo Raimunda. Przekład C. Niewiadomskiej. — Przegląd mód. — 27 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

Karczek do koszuli (robota szydełkowa).

Rycina Nr 2 (do ryciny Nr 6 w Bl. Nr 34).

Karczek wykonany krętymi nićmi, złożony z pojedynczych medalionów gwiazdek, kółek łączonych z sobą i otoczony w górnym i dolnym brzegu kilku kolejami wykonanymi wzdłuż. Wykonać na przednią i tylną część karczka po 7 medalionów. Każdy z nich rozpocząć na założeniu 24 oczek. — 1 kolej: 1 ścisłe oczko w 16, 3 razy naprzemian: 4 powietrzne oczka, 1 ścisłe oczko w 5 z rzędu oczek. — 2 kolej: 8 powietrznych oczek, 1 słupek w też samo oczko, w którym ostatnie ścisłe oczko było przerobione, 3 powietrzne oczka, 1 słupek w następne 4 opuszczone oczka założenia, 3 razy naprzemian: 3 powietrzne oczka, 1 słupek w następne 4 opuszczone oczka, 3 powietrzne oczka, 2 słupki przedzielone 5 powietrznymi ocz. w 20 oczek, z 24 oczek założ. 3 pow. ocz., 1 słupek w następne 4 powietrzne oczka, 3 razy naprzemian: 3 powietrzne oczka, 1 słup. w 4 pow. ocz., 3 pow. ocz., 1 ścis. łańc. ocz. w 3 pierwszych 8 pow. oczkach tejże kolei. — 3 kolej: robotę odwrócić i na poprzednich oczkach powracając: * 5 razy 4 ścisłe oczka w następne 3 powietrzne oczka, 9 ścisłych ocz. w następ. 5 pow. oczek, od * jeszcze raz po-

wtórzyć, poczem 1 1 ścisłe łańcuskowe oczko w 1 ścisłe ocz. tejże kolei. — 4 kolej: (prawa strona roboty) robotę odwrócić, 3 powietrzne oczka, 66 słupków w tylne żyłki 58 ścisłych ocz. poprzedniej kolei, a mianowicie: w środkowe nad 5 powietrznym oczkiem wykonane 9 ścisłych oczek, 3 słupki w oczko będące po obu stronach tychże, 2 słupki, na koniec 1 ścisłe łańcuskowe oczko w 3 pierwszych 3 pow. oczkach tejże kolei. — 5 kolej: robotę odwrócić, 22 razy naprzemian na 1 pikot, 2 ścisłe oczka przedzielone 4 powietrznymi oczkami w tylne żyłki następnego słupka. 2 ścisłe oczka w tylne żyłki następnego 2 oczka,

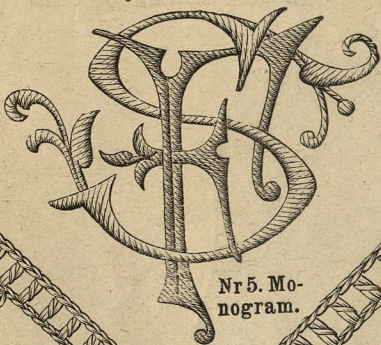


Nr 3. Monogram.



Nr 1. Wstawka wykonana szydełkiem na serwety, firanki itp. (do ryc. Nr 6).

Nr 2. Karczek do koszuli (robota szydełk. do ryc. Nr 6 w Bl. Nr 34).



Nr 5. Monogram.



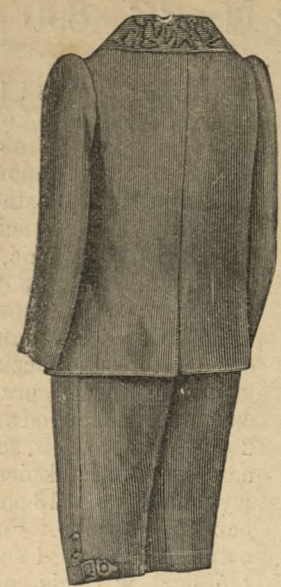
Nr 4. Monogram.

ale zamiast 2, 7, 13 i 18 pik. wykonać po 1 kółku na każde 2 ścis. ocz. w następ. ocz., 13 pow. ocz., z których 8 ostatnich zamknąć 1 ścis. ocz., robotę odwrócić, 2 pow. ocz., 3 i 13 pow. ocz. przyczepić, 18 słup. w kółko, 1 ścisłe łańc. ocz. w to samo oczko, które przedtem przyczepiono. Robotę odwr., 2 pow. ocz., 1 ścis. łańc. ocz. w ocz., w którym wykonano przed 13 pow. ocz. ścisłe oczko. Po 2 ostat. ścis. ocz. 1 ścis. łańc. ocz. w 1 ścis. ocz. tejże kolei, czem kończy się medalion. Jako fig. łączące po zewnętrznej stronie wykonać najprzód 3 kółka po 8 pow. ocz. złączonych 1 ścis. łańc. ocz. potem 3 pow. ocz., 18 słup. w kółko i 1 ścis. łańc. ocz. w 3 poprzednich 3 pow. ocz., poczem *, 13 pow. ocz., z których 8 połączyć 1 ścis. łańc. ocz., 2 pow. ocz. przyczepić 3 z 13 pow. ocz., 9 słup. w wykonane w kółko, od * jeszcze raz powtórzyć, ale zamiast 9 sł. 18 słup. w kółko i 1 ścisłe łańc. oczko w ocz. z którym szczepiono, 2 pow. ocz., 1 ścis. łańc. ocz. w ostatnie ocz. 9 słup. Przy środk. kółku 9 słupka w wolną jeszcze połowę kółka, 1 ścisłe łańc. ocz. w ocz. przyczepione, poczem 2 pow. ocz., 1 ścis. łańc. ocz. w 3 ocz., w którym przed 18 słup. wykonano 3 pow. ocz. Nitkę umocować i obciąć. Przy zakończeniu k a ż d e g o medalionu wykonać po lewej stronie łączącą

fig. łuku 1 ścis. łańc. ocz. w 9 ocz. 18 słup. kółka, które w medalionie wykonano zamiast 7 pikotów; 8 pow. ocz., 1 słup. podwójny, którego

górną żyłkę nie przerabiać w 4 z rzędu słup. tegoż kółka, 1 podw. słupek, którego górną żyłkę przerob. z poprzednią w środkową żyłkę ścis. ocz. znajdującego się pomiędzy 8 a 9 pik. tegoż medalionu; 8 pow. ocz., 1 ścis. łańc. ocz. w wolną jeszcze żyłkę ocz., w którym 2 ścis. ocz. 10 pikotu było wykonane; 8 pow. ocz., 1 podw. słup., którego górnej żyłki nie przer. w środkową żyłkę ścis. ocz. znajdującego się pomiędzy 11 a 12 pikot., 1 podw. słup., którego górną żyłkę przer. z poprzed. podw.

Nr 6. Narożnik do ryc. Nr 1 (robota szydełkowa).



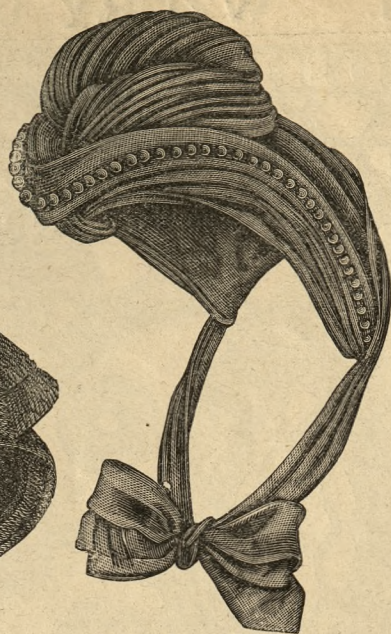
Nr 13. Ubranie dla chłopczyka od 6 — 8 lat (do ryc. Nr 17). Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 49—56.

połączyć. — 2 kolej: * na przekrój wykonać 14 pow. ocz. i takimiż ocz. do 1 kółka łączącej fig. przyczepić jak przedstawia wzór, 3 pow. ocz. do tychże w kółko przyczepić, 14 słup. w poprzednie 14 pow. ocz., 1 ścis. łań. ocz. w 2 z rzędu ocz. 1 kolei. Na listek wykonać 10 pow. oczek, powracając na 8 z tychże, następne ocz. opuścić, 1 ścis. ocz., 1 pół słup., 3 słup., 1 pół słup., 1 ścis. łań. ocz. w następ. 7 ocz., 3 pow. ocz., 5 słup. ozdobnych przedzielnich pik. (czyli 4 pow. ocz.) i 1 ścis. ocz. w po-

slup. w 4 z rzędu wolny słup. następnego kółka; 8 pow. ocz., 1 ścis. łań. ocz. w 5 z rzędu słup. kółka. Robotę odwrócić, 2 pow. ocz., 9 słup. 1-go kółka łączącej fig. przyczepić, następnie na poprzednich ocz. powracając 3 ocz. opuścić; 18 słup. w poprzednie 16 ocz. a mianowicie każde 2 słup. w 5 i 11 z tychże, poczem pół słup., 1 ścis. ocz., 1 pół słup. w następ. 3 o., 18 sł. jak poprzednio w następ. 16 o., poczem 9 sł. ostatniego kółka następ. łuku połączenia przyczepić. Drugą stronę karczka tak samo wykonać, ale zamiast środkowego kółka fig. łączącej wykonać 11 ocz. pow. tam, — powracając zaś równą liczbę ścis. ocz. wykonać i zamknąć kółko 1 ścis. łań. ocz. Połączwszy medaliony w ten sposób, zapelniać pozostałe otwory gwiazdkami, na które wykonać 5 pow. oczek i w kółko złączyć 1 ścis. ocz. i w 1-ej kolei 8 ścis. oczek w kółko 1 ścis. łań. ocz.



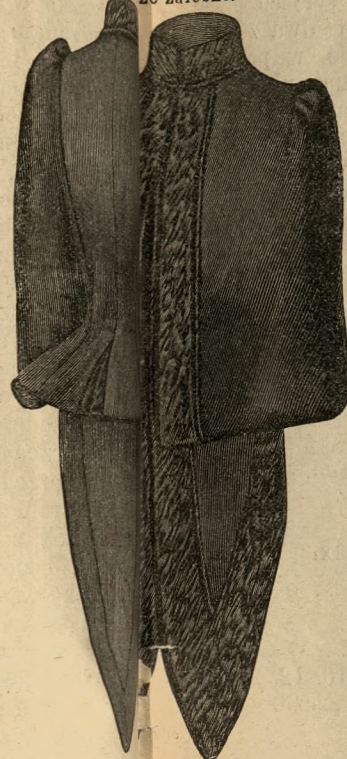
Nr 11. Kapelusz żałobny.



Nr 9. Kapelusz żałobny.



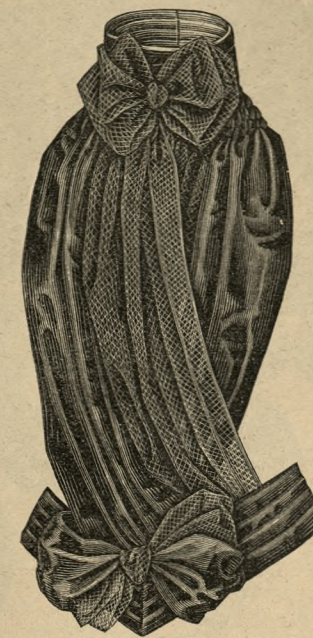
Nr 7. Ubranie żałobne.



Nr 15 i 16. Ubranie żałobne. (Krój i opis! pierw. II, fig. 26—30).



Nr 10. Chusteczka z koronki.



Nr 12. Napierśnik i kołnierzykiem.

1 śc. łań. o. w 3 z 4 pow. o. tejsze kolei. Brzeg przeciwniegi otoczyć tylko 1 koleją: * 7 sł. przedziel. 1 pow. o. w środkowe 7 wolne o. pierwszego kółka następnego połączenia, 1 pow. ocz., 1 śc. ocz. w żyłkę znajdującą się przed następ. kółkiem; 1 pow. o., 9 sł. przedziel. 1 pow. ocz. w wolny dotąd sł. następ. kółka; 1 pow. ocz., 1 śc. ocz. w żyłkę znajdującą się przed następ. kółkiem; 1 pow. o., 7 sł. przedziel. 1 pow. ocz. w środkowe 7 wolno jeszcze słup. następ. kółka; 1 pow. o., 4 ocz. w następ. fig. połączenia opuścić; 7 śc. o. w następ. 7 o., 5 pow. ocz. Poczwórny sł. którego obydwie dolne żyłki najprzód przerobić w 4 z rzędu o., 1 podw. sł., którego górne żyłki z następ. żyłkami poczwórnego słup. razem przerobić w 9 z rzędu ocz., potem górne żyłki poczwórnego sł. przerobić, 6 sł. w poprzedni podwójny sł., 5 pow. o., 3 o. opuścić, 7 śc. o. w 7 następ. o., 1 pow. o., od * powtórzyć uwzględniając wgłębie- nia; na koniec 1 śc. łań. o. w 1 sł. tejsze kolei. — 2 kolej: 2 śc. łań. o. w następ. 2 ocz., * 1 śc. o. w pow. ocz. pomiędzy 2 a 3 następnych 7 słup., 2 razy naprzemian: 5 pow. o., 1 ścis. ocz. w 3 z rzędu ocz., 5 pow. o., 1 śc. o. w 2 o. następ. 9 sł., 4 razy naprzemian: 5 pow. o., 1 śc. o. w 3 z rzędu ocz., poczem 5 pow. o., 1 śc. o. w pow. o. znajdujące się pomiędzy 2 a 3 następ. 7 sł., 2 razy naprzemian: 5 pow. o., 1 ścis. ocz. w 3 z rzędu ocz., 5 pow. o., 1 ścis. o. w środkowe następ. 7 ścis. ocz., 5 pow. o., 1 ścis. o. w następ. 5 pow. o., 1 pow. o., 7 słup. przedziel. 1 pow. o. w następ. 7 słup., 1 pow. o., 1 ścis. o. w następ. 5 pow. o., 1 ścis. o. w środkowe następ. 7 ścis. ocz. 5 pow.



Nr 14. Suknia dla panienki od 6—8 lat. (Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 57—66).



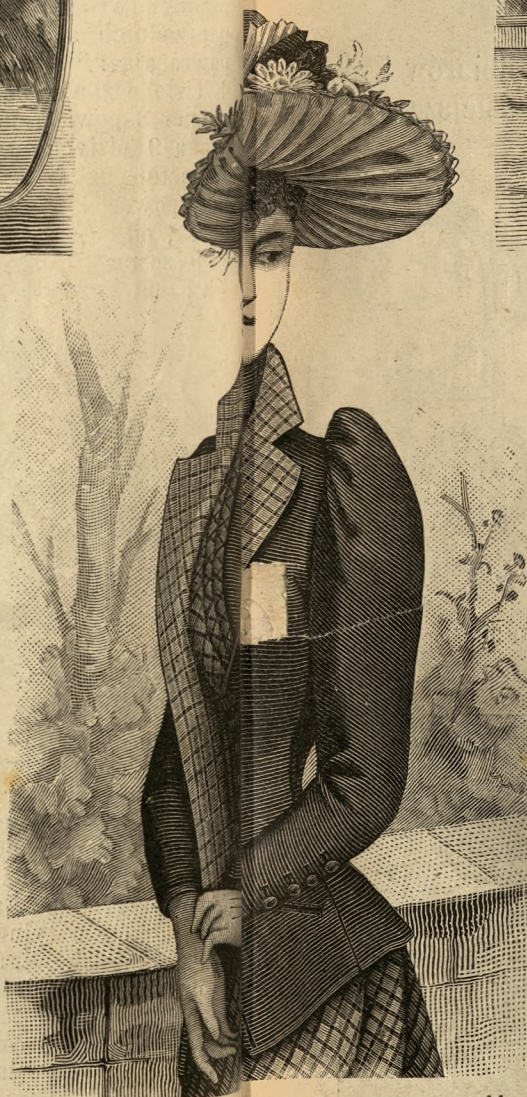
Nr 20. Suknia do żałoby. (Krój pierw. str. tabl.).

Nr 21. Suknia do żałoby. (Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 39—48).



Nr 17. Ubranie dla chłopczyka od 6—8 lat (do ryc. Nr 13). Krój i op. odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 49—56.

przeczną żyłkę poprzedniego sł. w wolne jeszcze żyłki 5—9 poprzednich 10 pow. ocz., ale po 2 słupku 4 pikotu, robotę odwrócić i wykonać podw. słup. w środkowy wolny jeszcze sł. zamiast 13 pik. Następnie 3 ozdobne sł. przedzielone pik. w następ. o., ale zamiast 2 pik. wykonać 4 pow. o., podług ryc. przyczepić do medalionu i 2 pow. o., 1 ścis. o. w poprzednie 4 pow. o., 2 pow. o., 1 ścis. ocz. w poprzednią żyłkę poprzedniego sł., potem 5 ozdob. sł. przedzielon. pik. w następ. 5 ocz., ale zamiast 2 pik. 1 podw. sł. jak poprzednio w odpowiednie kółko, 3 pow. o., 1 śc. o. w 3-cie—10-ciu pow. o. listka przerabiając razem znajdujące się tam pow. o., 2 pow. o., 1 śc. o. w toż samo o., w którym przed listkiem wykonano śc. oczko. Od * jeszcze raz powtórzyć z uwzględnieniem łączenia figur podług ryc. Nr 2 w Bl. Nr 35. Na koniec 1 śc. łań. o. w 1 o. tejsze kolei. Po zapelnieniu koronki wykonać rękawy, z których



Nr 19. Kaftanik do żałoby. (Krój pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 57—66).



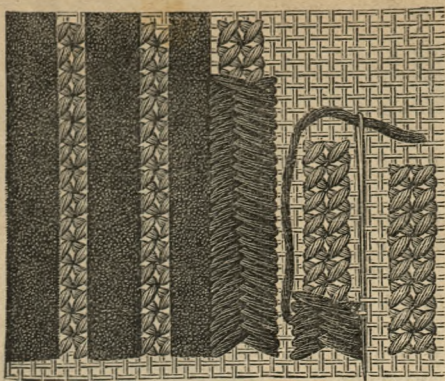
Nr 18. Ubranie dla panienki od 6 — 8 lat (do ryc. Nr 14). Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 57—66.

każdy złożony z 8-miu medalionów, tym samym sposobem, klin zaś wykonać podług ryc. Nr 6. Następnie otoczyć karczek jak następuje:—1 kolej: * 1 sł. w 4 z ostatnich sł. znajdujący się przed 11 śc. o. następnej łączącej fig. kółka, 5 pow. o., 1 sł. w następ. fig. 11 śc. o., 5 razy naprzemian: 1 pow. o., 1 sł. w 2 z rzędu o., potem 5 pow. o., 1 sł. w 4 z rzędu ocz. tejsze fig., 5 pow. o., 1 sł. w 8 z rzędu ocz. następnego łuku łączącego, 2 razy naprzemian: 2 pow. o., 1 sł. w 3 z rzędu o., 5 pow. o., 1 podwój. sł., którego górnej żyłki nie przerabiać w 3 z rzędu o., 7 o. opuścić, 1 podw. sł., którego górne żyłki przerob. z podwój. sł. poprzednim w następ. o., 5 pow. o., 1 sł. w 3 z rzędu o., 2 razy naprzemian: 2 pow. o., 1 sł. w 3 z rzędu o., 5 pow. o., od * powtórzyć, ale w rogach rękawa (ryc. Nr 6) i w głębi nacięcia należy zbacać. Na koniec 1 śc. łań. o. w 1 sł. tejsze kolei. — 2 kolej: 4 pow. o., potem ciągle naprzemian: 1 sł. w 2 z rzędu o., 1 pow. o., na koniec



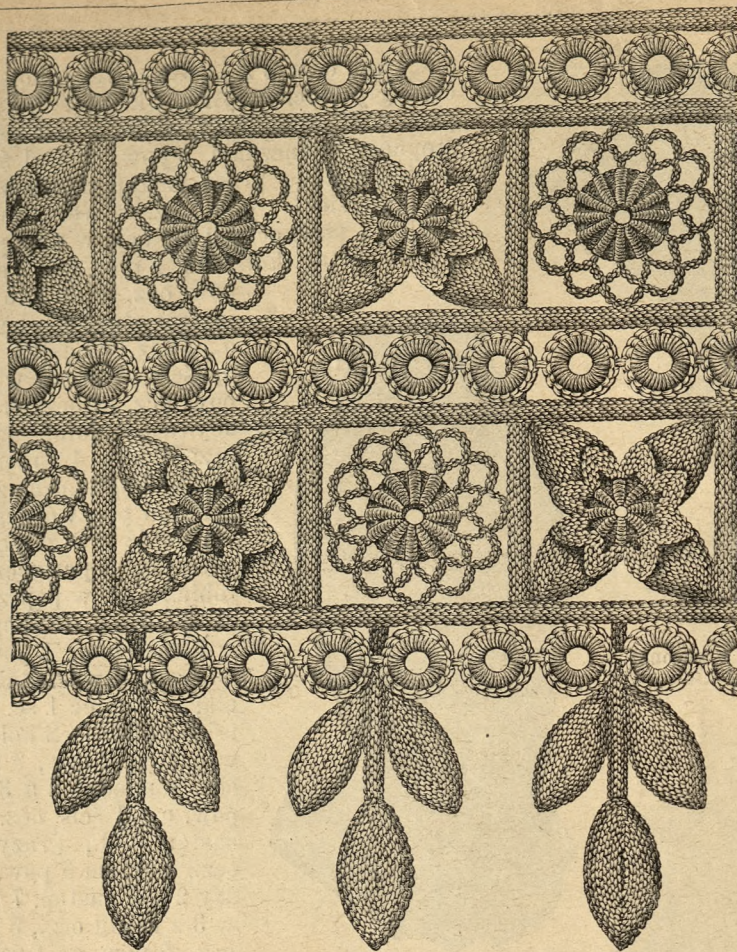
Nr 22. Suknia spacerowa z kaftanikiem (do ryc. Nr 15 i 19 oraz Nr 14 w Bl. Nr 34). Krój pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—25.

Nr 23. Suknia z chusteczką (do ryc. Nr 17 w Bl. Nr 34).

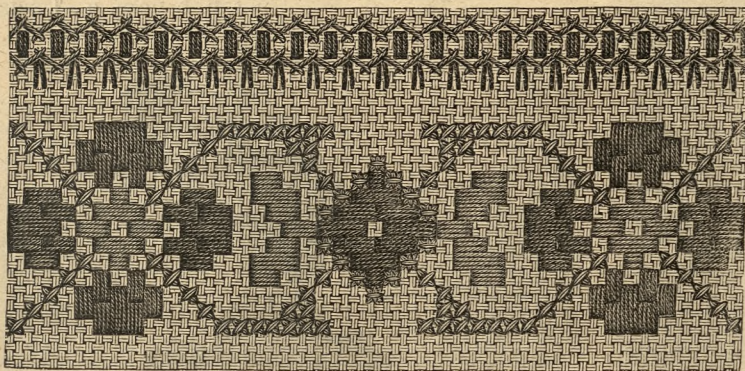


Nr 24. Wzór haftu na podnóżki, serwety i t. p.

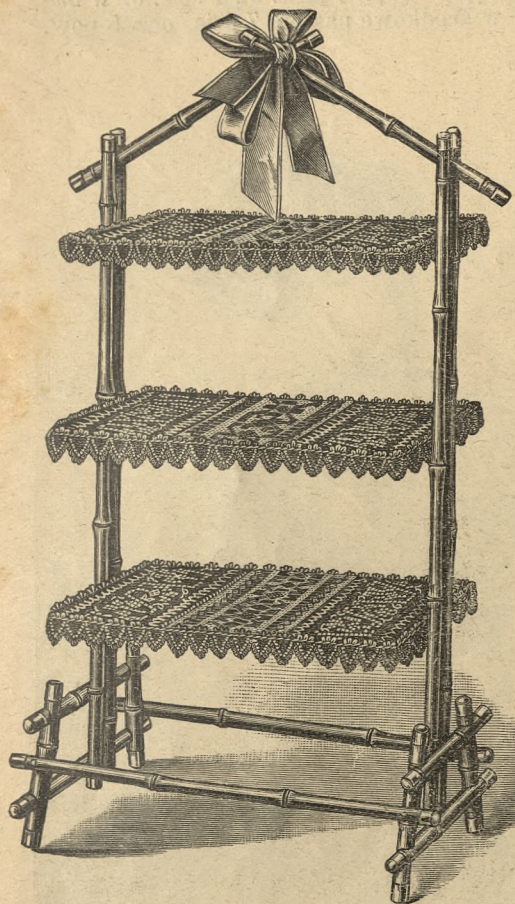
ocz., od * powtórzyć; na koniec 1 ścis. łań. ocz. w 1 ścis. ocz. tejże kolei. — 3 kolej: 3 ścis. łań. ocz. w następ. 3 ocz., * 11 razy naprzemian: 5 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w następ. 5 pow. ocz., potem 5 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w 2 następ. 7 słup., 3 razy na przemian: 5 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w 3 z rzędu ocz., 3 razy naprzemian: 5 pow. o., 1 ścis. ocz. w następ. 5 pow. ocz., od * powtórzyć; ostatnie ścis. ocz. wykonać w 3 ścis. łań. ocz. tejże kolei. — 4 kolej: 3 ścis. łań. ocz. w następ. 3 ocz., na łuk pikotowy $\dagger$ 2 pow. ocz., 1 pikot czyli 5 pow. ocz. i 1 ścis. ocz. w 1 ocz. z tychże; 2 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w następ. 5 pow. ocz., od $\dagger$ powtórzyć jeszcze 8 razy, po-



Nr 26. Szlak wykonany szydełkiem.



Nr 27. Szlak do ryc. Nr 28 (połowa oryginalnej szerokości)



Nr 28. Pułeczki ozdobione haftem (do ryc. Nr 27, 29 i 33).



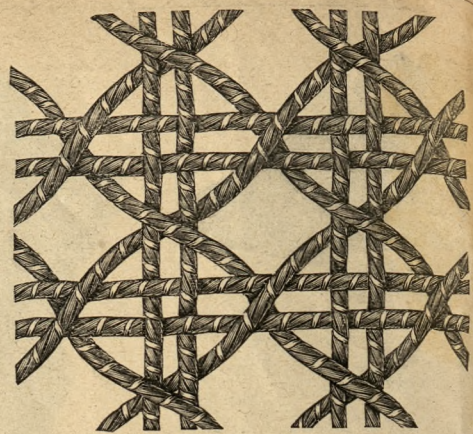
Nr 29. Szlaczek wykonany szydełkiem (do ryc. Nr 28) szerokość oryginalna.

czem 1 ścis. ocz. w następ. 5 pow. ocz., * 6 łuków pikotowych jak poprzednio, 1 ścis. ocz. w następ. 5 pow. o., od * powtórzyć, poczem 1 o. łuków pikotowych, jak poprzednio 1 ści. w nast. 5 pow. od * powtórzyć, na koniec 1 łuk pikotowy, którego ścis. oczko przerobić w 3 z pierwszych 3 ścis. łań. oczek.

Przepisy gospodarskie.

Pomidory nadziewane na sposób włoski.

Dojrzałe pomidory skroić z wierzchu, wybrać ze środka mięso, odrzucić pe.tki, na 10 pomidorów wziąć ćwierć funta tar-



Nr 25. Część roboty wykonanej sposobem plecionym na podnóżek ryc. Nr 30 (wielkość oryginalna).

tej bułki, nalać na nią tyle dobrej oliwy, aby dobrze nasiąkła — włożyć owe mięso pomidorowe, soli, pieprzu i tyle co lepek od szpilki czosnku tartego i dwa żółtka, wymieszać wybornie, nakłść w pomidory — przykryć ściętymi denkami, ułożyć na półmisk blaszany oliwą polany i wstawić do pieca na górną kondygnację, aby się upiekły. Tak francuzi jak włosi do pomidorów koniecznie używają czosnku.

L. C.

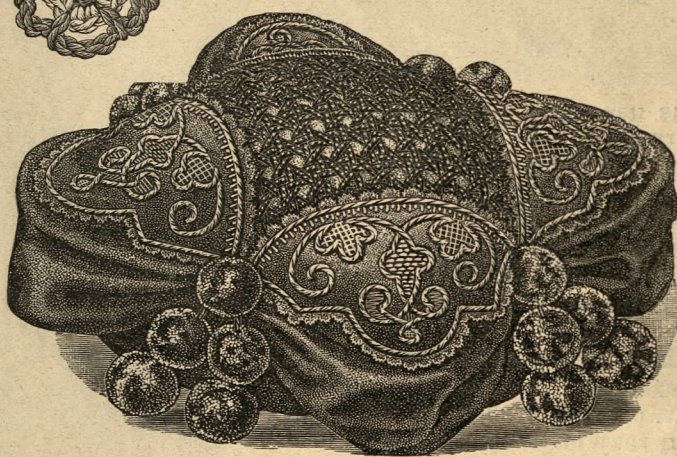
Obiad na Niedzielę.

1. Barszcz czysty z uszkami.
2. Schab z kartoflami.
3. Kalafior.
4. Kuropatwy „à la Herteux.”
5. Krem owocowy.

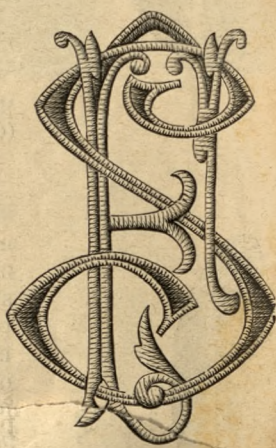
Opisanie rycin: Nr 1 i 6, 10, 12, 24, 26 i 28 w przyszłym numerze Bluszcza.

UWAGA.

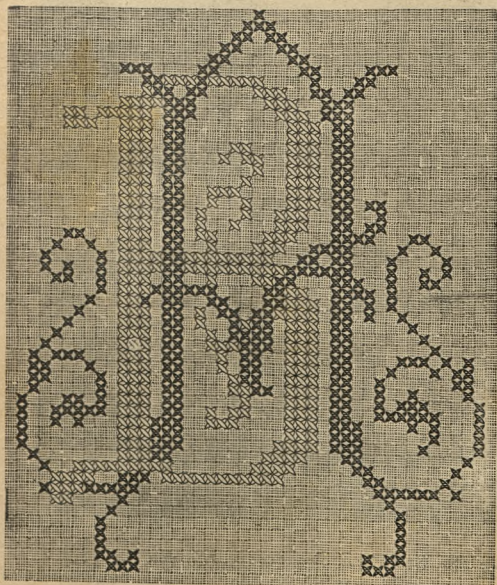
Tablica krojów objaśniająca wzory ubiorów i robót w Nr 34 Bluszcza, służy też do Nr dzisiejszego.



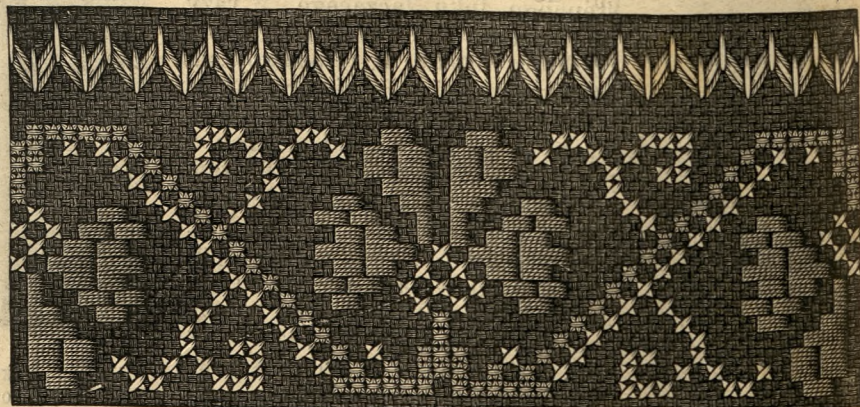
Nr 30. Podnóżek ozdobiony haftem i robotą plecioną (do ryc. Nr 25). Deseń pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 38.



Nr 31. Monogram.



Nr 32. Monogram (robota krzyżowa).



Nr 33. Szlak haftowany (do ryc. Nr 28 (szerokość naturalna).